

Dzis w numerze: K. BADZIAK **Łóżko dla gościa** • T. WOJCIECHOWSKA **Na muzycznej scenie i estradzie** • J. WILMAŃSKI **Bolesław Busiakiewicz opowiada** • **Człowieka wizerunek otwarty** • **Sztuka znaku graficznego** • **Solina o brzasku** • **Zawsząd o wszystkim**

odgłosy



41 (621)
12. X. 1969 r.
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII



ANDRZEJ MAKOWIECKI

Czy będziemy metropolią?

Kominy i Piotrkowska. Samograje. Dwie wyświechtane karty, na które zawsze warto postawić. Poeta wchodzący z miastem w intymny kontakt przy okazji dorocznego festiwalu, gra w kominy: dym, sadze, bura chmura, okopcone cegły. Dziennikarz, który ściągnął do Łodzi z Krakowa czy Poznania, zagrywa w Piotrkowską, czynszowe kamienice, parterowa secesja, wąsko, mrocznie, obskurnie. Dwugłos zgodny a fałszywy, od lat niezmienny, opisuje Łódź od środka, choć tam, na dalekich przedmieściach, zaroily się nowe dzielnice...

Wysokie bloki Widzewa, Chojen, Polesia i Bałut z czterech stron atakują część centralną, która kruszy się z roku na rok, metr po metr. Zresztą — w samym śródmieściu też wał się setkami w gruzy stare, zmurszałe rudery. Najprzód przeorano ulicę Zachodnią — jest dwa razy szersza od Piotrkowskiej. Potem — ulicę Główną, przy której mają stanąć dwudziestopiętrowe domy.

Ale... nie mówmy o tym, co dopiero w planach — lotnisko na Lublinku, kolej obwodowa (zamiast metra), drugie wykwinne centrum na uboczu i stutysięczna ultranowoczesna dzielnica. Mówmy o poetcko-reporterskich mitach, wędrujących w świat dzięki ryerczom pióra. Więc:

Piotrkowska straciła poniekąd monopol na gastro nomię i kulturę. Reprezentacyjna restauracja „Europa”, mieści się przy Alei Kościuszki, sąsiadując z reprezentacyjną księgarnią. Reprezentacyjny Teatr Wielki zalega Plac Dąbrowskiego, a reprezentacyjne panoramyczne kino stoi przy Narutowicza, ramię w ramię z Filharmonią, na wprost Telewizji. Do reprezentacyjnego domu towarowego „Uniwersal” trze ba jechać aż na Plac Niepodległości, a reprezentacyjna kawiarnia i biblioteka jest w rejonie Radio stacji. W tym układzie czeplić się bez przerwy starej, pocziwej „Pietryny” po prostu nie wypada.

A teraz kominy. Więcej ich z pewnością w symbolicznym wizerunku miasta, no i w wierszach, niż naprawdę. Dobrze trzeba wypatrywać oczy. A jak się coś znajdzie na dalekim horyzoncie, to też przeznaczone do rozbiórki.

Zmienia się krajobraz Łodzi. Wyzwała to falę optymizmu. Zmiany w krajo-

Dalszy ciąg na str. 2

HALINA SŁAWIŃSKA

listy



z komina

Nowe materiały
o Krystynie Wituskiej

Gdy kilka lat temu Jurek Kowalski, mój pomocnik w pracy nad gromadzeniem zbiorów do szkolnego muzeum, przyniósł paczkę listów, nie przywiązałam większej wagi do jego skarbu.

— Dał mi je kolega Borek. Niedawno rozbierano stary dwór w Jeżewie; listy przewiązane wstążeczką znaleziono w kominie, ale nie wiem, czy są wszystkie. Przejrzałam pobieżnie, większość z nich to jakby dziennik pisany drobnym mączkiem na kartkach kancelaryjnego papieru. Wysyłał je „jakiś Zbyszek” z wojska do swej ukochanej, którą pieszczotliwie nazywa Tina, Tinusią lub krótko — Ti.

Ciekawe, kto te listy ukrył? Wkrótce Jurek zdobył wiadomość o adresatce i jej adoratorze: ona — to Krystyna Wituska z Jerzewa (obecnie Jeżew, pow. Poddębice), podobno rozstrzelana przez Niemców, on — to Zbigniew Walc, podobno żyje... jest w Anglii.

Później dopiero przeczytałam uważnie wszystkie listy, uporządkowałam je według dat i numeracji. Pierwszy pisany był z Wilna 9 września 1938 roku, następnie pochodzi z Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie Zbigniew odbywał służbę wojskową w podchorążówce; ostatni datowany 23/24 listopada tego samego roku ma numer XXII. Ponieważ jest ich w sumie jedenaście, a więc tylko połowa listów pozostała.

Listy te są wzruszającym dokumentem wielkiej miłości.

Początek tej miłości — to ostatnie wakacje i spokój uzyskany, jak pisze Zbyszek, po roku szarpaniny, „która skończyła się nad rzeką w Piorunowie, kiedy odważyłem się powiedzieć ci, że cię kocham” (I.XI. 38 r.)

Szarpanina ta — to poszukiwanie sensu życia, wątpliwości, problemy religijne i uczuciowe, potrzeba pracy nad kształ-

towaniem swego charakteru i niepokój wobec nadechodzących zdarzeń.

„Włodzimierz, 23.X.38.

Kochana Tinusiu! Jestem nareszcie strasznie szczęśliwy, nareszcie jestem spokojny, że ten rok nas nie rozdzieli, przeciwnie zbliży nas do siebie. Tinusiu, nie zawiodę cię na pewno; chyba... gdybyś Ty, Tinusiu prze stała iść naprzód, przestała być dzielna, ale wiem, że do tego nie dojdzie...”

Ponieważ oboje byli w równym wieku, więc szansa Zbyszka jako kandydata na męża dla eleganckiej, przystojnej i zamężnej panny, która mogłaby wcześniej wyjść za mąż, była niewielka. Po ukończeniu podchorążówki będzie musiał jeszcze kilka lat studiować. Jednak kocha

Dalszy ciąg na str. 3



WYNIK WYBORÓW DO BUNDESTAGU nie przyniósł zaskoczenia. Tak, jak przewidywaliśmy trzy tygodnie temu, wzmocniona została pozycja socjaldemokratycznej partii Brandta, która dysponować będzie w nowym parlamencie zachodniemieckim 224 mandatami (poprzednio — przypomnijmy — 202). Zmniejszyła swój stan posiadania do 242 mandatów (a więc o 3) CDU. Największe straty poniósł partia Scheela — FDP. W nowym Bundestagu będzie ona miała 30 miejsc — zamiast poprzednich 49.

I taki właśnie rezultat wyborów można było przewidywać. Nie można natomiast było przewidzieć dalszego biegu wydarzeń. A przyniósł on rzecz nową — odrzucenie możliwości powstania tzw. wielkiej koalicji. Wzmocniona partia Brandta skierowała się nie w stronę CDU, lecz osłabionej FDP. Kierownicze gremia obu partii podjęły rozmowy o utworzeniu wspólnego rządu. W toku dotychczasowych trzech rund rozmów uzgodniono, że w nowym gabinecie ilość ministerstw zredukowana zostanie z 19 do 15, kanclerzem będzie Brandt, a wicekanclerzem i ministrem spraw zagranicznych — Scheel, trzy resorty pozostaną w rękach „wolnych demokratów”, rząd będzie prowadził aktywną politykę wschodnią i niemiecką oraz dążył do jak najszybszego zawarcia układu o nierozpowszechnieniu broni nuklearnej.

Niedyskrecje prasowe sygnalizują również dążenie zapowiedzianego rządu SPD-FDP do skrócenia służby wojskowej w NRF i obniżenia granicy wieku wyborców do 18 lat.

Od chwili, kiedy oddajemy komentarz do druku, do powstania nowego rządu dzieła nas jeszcze dwa tygodnie. Wiecy też ostatecznie sformułowany zostanie program rządowy. Nie można po nim spodziewać się zbyt wiele — i dlatego, że SPD musiała uczynić pewne koncesje wobec „wolnych demokratów”, i dlatego, że socjaldemokratyczna partia ma także swoje prawicowe skrzydła, i wreszcie dlatego, że Brandt mimo pewnej elastyczności dość wyraźnie określił w toku kampanii wyborczej jej granice.

Nowy rząd będzie dysponował w Bundestagu zaledwie 6-mandatową przewagą. Wystarczy przeto, aby prawe skrzydło FDP, reprezentowane przez Mendege, wyłamało się z dyscypliny partyjnej, a już może dojść do kryzysowej sytuacji. Jest to tym niebezpieczniejsze, że po raz pierwszy znajdując się w opozycji CDU/CSU pozostaje najsilniejszą partią bismarskiego parlamentu.

Mimo to możliwość uformowania gabinetu bez CDU, która dotychczas nieprzerwanie pozostawała u steru rządu, jest w NRF nowym zjawiskiem politycznym, o określonych następstwach wewnętrznych i zewnętrznych.

Skoro mowa o zachodniemieckich wyborach, trzeba jeszcze zwrócić uwagę na neo-faszystowską NPD. Wprawdzie nie uzyskała ona 5 proc. głosów, a tym samym nie będzie reprezentowana w Bundestagu, jednak miała dwa i pół raza większą kwaterę wyborczą niż w 1965 roku. Jest to niepokojący sygnał, iż społeczeństwo zachodniemieckie, czy też precyzyjniej — jego część, jest podatna na neo-faszystowskie nury. O tym jakże nie możemy zapominać.

I jeszcze jedna uwaga: większość komentatorów światowej prasy outzuczyniły przyczynę odnosi się do zapowiedzianej koalicji SPD-FDP. Podkreśla jednak, że SPD napotykać będzie liczne trudności w realizacji swych zamierzeń. Jest to — piszą — „droga ryzyka i eksperymentu”, która w nie sprzyjających okolicznościach może być szybko przerwana. Oczywiście — możliwości takiej nie można wykluczać. Jeśliby jednak zachodziła konieczność rozpisania nowych wyborów przed upływem kadencji obecnego parlamentu — SPD będzie w nich występować z pozycji partii rządzącej. A to się liczy.

Rozpocząłem komentarz od wyborów w NRF, ponieważ przed tygodniem zapowiedzieliśmy go. Największym wydarzeniem ostatnich dni są natomiast ROZMOWY POLSKO-RADZIECKIE W MOSKWIE. Trzydniowy pobyt delegacji partyjno-rządowej PRL w stolicy Związku Radzieckiego zakończył się przyjęciem wspólnego komunikatu. Wynika z niego, że głównym tematem rozmów były stosunki bilateralne na płaszczyźnie współpracy gospodarczej i naukowo-technicznej.

Jak zwykle, dokonano także wymiany poglądów na temat aktualnej sytuacji międzynarodowej. W tej części rozmów szczególnie wiele uwagi poświęcono sprawie umocnienia pokoju i utworzenia systemu zbiorowego bezpieczeństwa w Europie. Obie strony uznały, że obecna sytuacja międzynarodowa wymaga zaktywizowania działań w celu stworzenia skutecznych regionalnych systemów bezpieczeństwa. Wyraziły one przekonanie, że ogromne znaczenie miałoby wcielenie w życie zasad zawartych w „apelu do wszystkich państw świata”, którego projekt delegacja radziecka zgłosiła w toku obrad XXIV sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ.

W rozmowach wykspionowano potrzebę polepszenia kresu wyścigowi zbrojeń i popierania wszelkich rozbrojeniowych inicjatyw.

Przedmiotem wymiany poglądów była również sytuacja w Wietnamie i na Bliskim Wschodzie. Polska i ZSRR potwierdziły swoją dotychczasową politykę, zmierzającą do wygaszenia w obu tych rejonach niebezpiecznych konfliktów.

W. SŁAWSKI

Czy będziemy metropolią?

Dalszy ciąg ze str. 1

zie świadczą przecież o zmianach w przemyśle. Ktoś po wiedział nawet, że skończyła się już bezpowrotnie era włókna, choćby syntetyczne go, ustępując miejsca erze maszyn, metalu i elektrotechniki. Ale to bzdura. Łódź wciąż jeszcze gra na przędy. I to wbrew pozorom krajobrazu, gra na starym parku maszynowym, w starych historycznych pomieszczeniach. Znikają kominy, ale krosna huczą ciągle echem pierwszej wojny światowej, albo nawet ubiegłego wieku. A jednak...

NADCIAGA REWOLUCJA

Plany zakładają, że w latach 1971—1975 nastąpi całkowita wymiana parku maszynowego. Modernizacja, rekonstrukcja, automatyzacja. Już dziś przemysł łódzki wchodzi w okres przegotowania do tych zmian. W wielu zakładach włókienniczych i dziewiarskich idą pod młot stare, zdezaktualizowane graty, a w wysiłonych halach stają ciasnymi rzędami skomplikowane dziwołagi, budzące nieraz niepokój robotników.

Nowe maszyny — to konieczność nowego myślenia. Konieczność nauki, doskonalenia się w zawodzie, zdo bywania świadomości technicznej. Rewolucja przemysłowa nie odbywa się bez tarć. Wymaga wyrzeczeń. Budzi to czasem sprzeciw ludzi, których świadomość ukształtowana została na wzór starych maszyn. Rozumiem nieraz tych ludzi. Nie są młodzi, sporo już w życiu przeszli. Ich umysł nie jest już tak chłonny a ręce tak precyzyjne jak niedygi. Chcieliby odpocząć, przynieść ciężar walki o unowocześnienie przemysłu na barki innych, młodszych, którym łatwiej, którzy mają siłę.

— Mam pięćdziesiąt dzie w lat — mówi robotnik zakładów włókienniczych, którego twarz nie wyraża przecież złości ani uporu. — Sporo w życiu przeszedłem. Walczyłem, harowałem od najmłodszych lat, żeby wy chować dzieciaki. Chciałbym na starość mieć trochę spokoju, a tu, co... to mi ka-żde chodzą na kursy, to zno wu straszę egzaminem zawodowym albo że mnie przeniosą na wydział innych maszyn. Nie jestem wrogiem modernizacji, bo wiem, że to jest potrzebne dla rozwoju produkcji. Ale czy ja temu poddam? Czy ja mam uczyć się teraz wszystkiego od początku? A jak nie poddam, to co? Z roboty mnie nie wyrzucą, ale zostaną po czterdziestu latach ciężkiej pracy zaktą dowym popychadłem, żeby doczekać jakoś emerytury...

Rozumiem tego człowieka. Dramat jego ambicji. Lęk przed zawodową degradacją. Współczuję mu. Ale przecież niejedyn starszy od niego robotnik zdołał się jakoś przestawić. Niejedyn stary włókiennik, którego życie też nie było usiane różkami, potrafił się przekwali fikować, sprostać wymogom nowej techniki.

Dziś, kiedy zaistniały warunki do usunięcia wiekowych zaniedbań, nikomu nie wypada stać na uboczu, przyglądać się z założonymi rękami pracy innych. Trzeba przelamać zły, odwieczny sposób myślenia: oby łat wiej, oby do pierwszego, i zrozumieć, że najnowocześniejsze nawet maszyny nie obej- dą się bez ludzkiej świadomości.

SAMI STWARZAMY MIT PROWINCJI

Jak to się dzieje?

Miasto jest potęgą przemysłową i, wbrew pozorom, jedną z potęg kulturalnych. Wprawdzie cierpimy podobno na brak kin (biorąc pod uwagę liczbę mieszkańców), ale mamy za to „nadmiar” teatrów (biorąc pod uwagę dobrych aktorów). Wprawdzie nie jest najlepiej z czytelnictwem, plastiką i muzyką poważną (dobre książki, wystawy i koncerty — mało chętnych, żeby to podziwiać), ale za to doskonałe jest ze sportem (liche drużyny piłkarskie — dużo chętnych, żeby ich grę okla skiwać).

Jesteśmy miastem przewrotnym, jak każdy wielki ośrodek przemysłowy. Jesteśmy miastem niedoskonałym, ale czy jest na świecie miasto doskonałe?

Zgoda. Łódź ma wiele braków. Ale co my robimy, że by te braki zlikwidować?

Nic. Wolimy pasać swoje prowincjonalne kompleksy. Wolimy narzekać albo zachwycać się innymi miastami, i to niekiedy nieraz niepo- szawą — także Poznaniem, Wrocławiem i Krakowem. Tam się dopiero zaczyna prawdziwy raj. Jaki raj? Znam wielu poznańców i krakusów, którzy chętnie za mieszkaliby na stałe w Łodzi. Znam nawet paru takich warszawiaków. Bo przecież wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma. Bo przecież naj- łatwiej zwałać swoją nie- moc, brak zdolności, apatię czy lenistwo na miasto.

— Gdybym miał dziesięć tysięcy złotych, to bym z miejsca wyjechał do Warszawy — zwierzał mi się niedawno publicysta, który już od ładnych paru miesięcy cy nie nie wydrukował.

— Po co?

— No, żeby nareszcie zacząć pisać.

— A tu pan nie może?

— Gdzie? Do „Osnowy”? A może do „Odgłosów”?

— Znam takich — mówię — co mieszkają w Łodzi i drukują w Moskwie.

— Bo mają plecy.

— A w Warszawie nie po- trzeba mieć pleców?

— Jasne, że nie. Tam wy- starczy dobrze pisać.

— No to niech pan dobrze- pisze w Łodzi i wysyła swo- je artykuły do „Kultury”!

— Nie. Żeby drukować w „Kulturze”, trzeba być w miejscu, wejść w środowis- ko.

Podobnie myśli wielu pla- styków, filmowców, litera- tów, architektów, ba, nawet naukowców, dla których w zasadzie świat powinien się zamykać w czterech ścianach hermetycznych pracow- ni. Skrzywdzeni przez los biedacy. Ludzie, których ge- niusz stłamszony jest skut- ecznie przez miasto: stare, biedne, nie stwarzające od- powiednich warunków. Ale nieraz tak bywa, że któryś z nich rzeczywiście trafi na warszawski bruk, i tu za- czyna się dramat ostatecz- ny: nie robi przewidywanej kariery, bo jego mierne zdolności nie pozwalają na to nawet w tak wspania- łych warunkach i środowis- ku, bo Warszawa nie potra- buje takich cwaniaków, la- wirantów, którzy liczą na szczęśliwy traf, uśmiech lo- su.

Dobrym można być wszę- dzie.

I wszędzie można być złym.

Taki jest ten świat. Awans zdobywa się rzetel- ną pracą, długimi latami wyrzeczeń, a nie bezsensow- nym upartym biadoleniem,

Łodzianie w karykaturze



LEON GOMOLICKI

powieściopisarz

rys. Ibis-Gratkowski

od którego dosłownie puch- ną uszy w każdej łódzkiej kawiarni.

To samo z rangą miasta. Nie podniosą jej uparte nar- zekania, że Łódź jest po- krzywdzona, zapomniana przez władzę, skazana na- nędną egzystencję. Nie wy- starczy oglądać się bez- przerwy na Komitet i Radę Narodową, bo potencjalne możliwości przeobrażenia Ło- dzi ma także całe społeczeń- stwo, każdy z nas.

Wystarczy powołać się- tutaj na przykład Śląska, któremu tak często zazdro- ścimy... Rośnie, potężnieje, pięknieje. Dzięki czemu? Bo jest bogaty — powiedzą- łódzcy malkontenci. Ale- skąd się to bogactwo bie- rze? Z biadolenia, narzeka- nia? Czy z pracy? Park- Kultury i Wypoczynku, o- którym głośno w całym kra- ju, został przecież wybu- dowany w dużej mierze dzi- eki ofiarnej społecznej pracy- górników. Zresztą nie tylko- Park Kultury. Podczas wę- drówek po Śląsku i Zagłę- biu widziałem wiele obiek- tów sportowych i kultural- nych wzniesionych czynem- społecznym. Ot, chociażby- taki stadion Szombierek w- Bytomiu, rozległy, kwit- nący zielenią, stanowiący o- gromny kombinat rekreacyj- ny, w którym boisko do pił- ki nożnej, aczkolwiek piękne- i otoczone wietlowskimi try- bunami, jest tylko jedną z- licznych atrakcji. I po- myśleć, że ten stadion, mo- gący pomieścić całą ludność- Bytomia, wybudowany zo- stał na hałdach (bo okolice- Bytomia nie obfitują w in- ne, wolne tereny). Pomy- śleć, że w Łodzi mamy tak- doskonałe poligony do pra- cy społecznej, jak Łagiewni- ki, Ruda czy Zdrowie, gdzie- na dobrą sprawę można by- wnieść nie tylko stadion- na sto tysięcy, ale parę hal- sportowych, kilkanaście ba-

senów pływackich i coś tam- jeszcze...

— Ale samo to z nieba nie- spadnie.

Trzeba zakasać rękawy, chwycić za łopaty i pracować. I to dobrze pracować, z entuzjazmem, biorąc przy- kład z górników a nie z- niektórych robotników dro- gowych i budowlanych, któ- rzy albo popalają papieros- ki albo, wsparci o szpadle, popatrują w niebo.

CZY BĘDZIEMY METROPOLIA?

A może już jesteśmy?

Łódź liczy bez mała osiem- set tysięcy mieszkańców. Jest drugim miastem w kra- ju. Posiada wszystko (albo- niemal wszystko) to, co- stanowi przywilej wielkich- miast, co pozwala snuć pla- ny intensywnego rozwoju.

O co więc chodzi?

Skąd te nasze kompleksy- i frustracja?

Niedawno ktoś mi tłumaczył, że metropolią mamy- szansę zostać dopiero wów- czas, gdy liczba mieszkań- ców Łodzi osiągnie okrągły- milion, i kiedy doniosły ten- fakt zarejestrują wszystkie- mapy świata...

— Ale ja myślę, że nie tędy- droga.

Aby zyskać sławę nowo- czesnego, wielkiego miasta, nie wystarczy budować no- we osiedla i na siłę meldo- wać brakujących do milio- na ludzi. Trzeba raczej mo- dernizować przemysł lekki, który jest naszą wizytówką. Trzeba zmienić sposób my- ślenia tych, którzy służą pro- dukcji, i tych, którzy odpo- wiadają za losy tego mia- sta w sferze kultury.

Trzeba przestać biadolić, zacząć pracować i nabrać- wreszcie godności.

ANDRZEJ MAKOWIECKI



listy



Dalszy ciąg ze str. 1

ją i wierzy, że będą wspólnie żyć i pracować, tak, aby coś dobrego po nich pozostało na świecie.

.... Mnie się zdaje, nie wiem, czy tak jest, ale życie człowieka, który nie zdobywa, nie pnie się wzwyż, nie mówię tu o celach materialnych, ale te idą prawie zawsze w parze, musi być strasznie nudne. Tak jak Witold powiedział: bridge i polowanie, to wystarcza może innym, ale mnie nie. Tinusiu, my wszystko zdobywamy mniejszym lub większym bólem, szarpaniem się, ale to, co zdobędziemy, tego już nie utracimy..."

Zżył się już tak z Tiną, że nie wyobraża sobie życia bez niej, bo jej pomoc jest mu również potrzebna:

.... U nas jest pełna jesień, leje, liści na drzewach nie ma i co najgorsze — zimno, ale przyjdzie wiosna, stosując się do Twojej prośby — wywołuję ją w sereu..."

.... Mnie twoja miłość dała olbrzymie zasoby sił, myślę, że ich wystarczy na ten rok... .. Ach, Tinusiu, moja maleńka, żebyś wiedziała, jak tęsknię do Ciebie... Tinusiu, tylko dalej tą drogą, kochana. Całuję Cię maleńka, Zbyszek".

Z uwagi na zły stan zdrowia Krystyna wyjechała na krótko do Zakopanego, a potem z matką do Szwajcarii, gdzie w zakładzie dokształcającym w Neuchatel pozostała, aby się uczyć i leczyć. Otrzymała list od Zbyszka 30. X. 38 r.

.... Ciężko mi pisać ten list, zmieniły się i równocześnie upodobniły warunki naszego życia, tak samo jak i ja jesteś teraz samodzielna i sama decydujesz o swoich czynach, sama ponosisz ich konsekwencje, ale równocześnie dzieli nas szmat świata i takie różne otoczenie. Będziesz tam widziała tyle ciekawych rzeczy, efektywnych ludzi. Mo że to dobrze, przekonamy się teraz, czy nasza miłość jest trwała, zobaczymy, co są warte nasze charaktery i przyrzeczenia. Ja proszę Cię o jedno bardzo, proszę bądź dla mnie wyrozumiała, wybacza mi niektóre rzeczy, ale jeżeli coś złego zobaczysz, pisz o tym szczerze i od razu... Myślę, że teraz Twoje listy będą tchnęły optymizmem. Więc jednak warto żyć, świat jest ciekawy i piękny!"

I znów w listach ludzi ją i siebie wzięli wspólnie, szczęśliwej przyszłości. Wierzy, że będzie spokojny, nie przeczuwa nadchodzącej wojny, nie wie, na jaką próbę wystawi los ich wzajemne uczucia.

Jak potoczyło się dalej ich życie?

W listach więziennych opracowanych przez Wandę Kiedrzyńską („Na granicy życia i śmierci” PIW 1969) poznajemy nie tylko jedną z najpiękniejszych postaci kobiecych, niezwykłą bojowniczkę o godność Polski, ofiarą i jak Antygona zdecydowaną na wypełnienie swego obowiązku, ale śledzimy także losy kochającej się pary.

Krystyna przed wybuchem wojny wróciła ze Szwajcarii do rodzinnego domu w Jermowie. W następnym roku rodzina otrzymała nakaz wysiedlenia, ale matka z dwiema córkami: Haliną i Krystyną ukrywała się dość długo, nocując nawet w stogach siana na łąkach. Zaskoczony niespodziewanym najazdem żandarmerii musieli opuścić dom w październiku 1940 r.

Ojciec otrzymał pracę w Brwinowie, a matka z córkami zamieszkały w Warszawie, gdzie wkrótce Krystyna pod pseudonimem „Kasia” rozpoczęła pracę konspiracyjną w komórce ZWZ.

Zbigniew Wałc nie skończył służby w wojsku; jako podchorąży walczył w kampanii wrześniowej, najprzód w 26 Pułku A.C., potem w kawalerii; dostał się do niewoli niemieckiej i już nie wrócił do kraju. Przebywał jakiś czas w Itzehoe, potem przeniesiono go do II stalagu,

gdzie dziwnym zbiegiem okoliczności komendantem był Wałc, który zwrócił uwagę na podobieństwo nazwisk. Zaprosił Zbigniewa do swego domu w Stuttgarcie, gdzie udowodniono mu pokrewieństwo. Z trzech braci Wałc jeden pozostał w Niemczech, drugi wywedrował do Rosji, trzeci do Polski. Chłopiec ma kuszącą propozycję. Jeśli uzna związki rodzinne, zostanie zwolniony z obozu, zapisze się na uniwersytet w Berlinie, skończy prawo i zrobi karierę przy poparciu niemieckiej rodziny. Nie uległ pokusie, wrócił do stalagu, a gdy w 1941 r. werbowano do pracy na roli, zgłosił się i otrzymał skierowanie do ogrodnika w Neubrandenburg. Trafił do uczciwej rodziny, gdzie odkarmiono go solidnie. Po pracy często wychodził na spacer z dziećmi gospodarki.

Na fotografii zrobionej w tym czasie, Zbyszek nie wygląda na zabiedzonego polskiego jeńca: policzki się zaokrągliły, elegancko prezentuje się w garniturze, przysłanym mu z domu. Mógłby spokojnie przetrwać wojnę, gdyby się nie zaangażował w pracę konspiracyjną. Z kraju otrzymywał wiadomości o zorganizowanej walce z wrogiem, sam zbierał dane o sytuacji Polaków w Niemczech.

Gestapo berlińskie wpadło na trop jego działalności wywiadowczej i 20 czerwca 1942 roku został aresztowany. Na liście jego korespondentów figurowała też Krystyna, więc w jej mieszkaniu 19 października 1942 roku przeprowadzono rewizję, w wyniku której wyszła na jaw jej praca wywiadowcza.

Zaresztowano wtedy Krystynę wraz z jej dwiema przyjaciółkami: „Kamilla” i „Wanda”. Krystynę umieszczono na Pawiaku, a po badaniach na Szucha przewieziono w trzy dni później do więzienia policyjnego na Alexanderplatz w Berlinie. Skazano ją na karę śmierci przez ścięcie i wyrok wykonano 20 czerwca 1944 roku w Hall (Saale). (Pisał o niej Leon Wanat w książce „Za murami Pawiaka”, s. 528).

Pobyt w więzieniach niemieckich trwał kilkanaście miesięcy, w czasie których Krystyna dojrzała duchowo, zmędziała, uodporniła się na cierpienie, nauczyła pogardzać śmiercią, nie tracąc przy tym po gody ducha, humoru ani wiary w ludzi. Stamtąd wysyłała swe listy, stanowiące dziś „dokument niezwykły”, jak je ocenił S. Otwinowski w recenzji tej książki. (Życie Literackie Nr 897 6.IV.1969 r.)

W tym samym więzieniu na Alexanderplatz znalazł się także i Zbyszek w celi położonej o piętro niżej. Krystyna mogła z nim rozmawiać przez okno. Dwukrotnie spotkali się w czasie rozprawy przeciw Zbyszkiowi na sali sądowej, gdzie Tina występowała w charakterze świadka. Tina w liście do matki zapewnia ją, że „to był naprawdę wielki dzień”. Ale innymi oczami patrzy teraz na swego chłopca.

Ze swoich przemian wewnętrznych zwierza się matce Zbyszka p. Wandzie Walcovej: (28.3.43)

.... Czasami mam dla niego prawdziwie matczyne uczucie. W tych ciężkich czasach nie stał się słabym, przeciwnie jest teraz bardziej zahartowany i ma bardzo silną wiarę, to na pewno zawsze będzie pomagało. Przewiduję, że dla niego los będzie laskawszy niż dla mnie... I wróci zdrowo do domu, aby... „pocieszysz was trochę, ukochane mamusie...” (6. 6. 43 r.)

Matkę swoją prosi, aby nie była zła na Zbyszka; proponuje, aby sprawiła mu jakąś małą przyjemność, bo... „to jest też biedne dziecko; on martwił się tak samo jak ja, że jesteś na niego zła”.

W lutym przeniesiono Krystynę do więzienia w Alt-Moabit, więc w listach do domu ubolewa, jak musi być smutno Zbyszkiowi, który jest nadal tak bardzo w niej zakochany.

W czasie długich rozmów przez okno celi na „Aleksie” Tina starała się przygotować go na najgorsze i wymogła przyrzeczenie, że nie zrobi „żadnego głupstwa”. W listach prosi jednak, aby nie zdradził przed nim jej wyroku... „Chłopak jest i tak wystarczająco smutny. Jestem przeświadczona, że szybko się pocieszysz, byłam dla niego co najwyżej pięknym marzeniem...” (25.4.43)

Wkrótce do Moabitu przeniesiono także i Zbyszka, więc Tina korzysta z okazji, aby mu przesłać kartkę, w której cieszy się nadzieją spotkania na rozprawie sądowej. Ale jakże jej wydaje się dziecinny ze swymi marzeniami o wspólnej przyszłości! Krystyna zna już decyzję sądu i zbiera siły, aby spokojnie przyjąć śmierć, a swoim oprawcom nie okazać lęku.

W tym okresie Niemcy sfingowali wykonanie wyroku i Tina przyjęła tę „śmierć” z godnością, ani jednym słowem nie wspominając o tym wydarzeniu w listach do rodziców.

Adwokat niemiecki, do którego zwróciła się matka w Warszawie, poinformował ją o tym fakcie, dodając z uznaniem: „Ma pani bardzo dzielną córkę”.

Zbyszek przeczuwa coś złego, niecierpliwi się brakiem wiadomości o przebiegu jej sprawy i pisze wzruszający list, w którym prosi Tinę, aby mu powiedziała prawdę. Ona jednak wie, że taka wiadomość może mu zachwiać równowagę, tak

bardzo potrzebną przed jego ostateczną rozprawą.

I znów mieli okazję zobaczyć się na sali sądowej, a na drugi dzień otrzymali zezwolenie na widzenie. Tina cieszyła się bardzo, gdyż Zbyszek uniknął wyroku śmierci. W liście do matki stwierdza z zadowoleniem, że był „promieniejący radością” i o wiele lepiej wyglądał niż na „Aleksie”. „On zresztą także był zadowolony moim wyglądem” (20.8.43).

Stara się o ponowne z nim widzenie, lecz go już nie otrzymuje, gdyż Zbyszka wywieziono gdzieś do obozu. Pisze do jego matki (22.8.43).

„Za każdym razem, gdy wspominam Nikę, czuję ogromną wdzięczność do losu, że on się uratował. Nie przypuszczam, żeby moja śmierć wpłynęła w jakikolwiek sposób na jego późniejsze życie, jest przecież taki młody! Wiem teraz z własnego doświadczenia, jak szybko człowiek przyzwyczaja się i przechodzi do porządku dziennego nad rzeczami, które z początku wydają mu się niemożliwe do przeżycia”.

Dopiero w styczniu uzyskuje wiadomość, że Zbyszek pracuje w lesie i zadróżni mu w duchu tej „przyjemnej”, z uwagi na przyrodę, pracy. Wkrótce rodzina znów traci kontakt listowy ze Zbyszkiem, a Krystyna radzi, aby czekać cierpliwie, aż sam się odezwie z jakiegoś obozu, gdyż „stapo nie udziela żadnych wiadomości”.

Jej troską największą stało się teraz przygotowanie siebie i rodziców na chwilę ostatecznego rozstania. Nie wierzy w to, aby Niemcy mogli ją ułaskawić, nie przyjęła obrony proponowanej przez adwokata. Na dziesięć miesięcy przed wykonaniem wyroku pisze pożegnalny list, który dobra strażniczka więzienna, Hedwig Grimpe, obiecała wysłać do rodziców po jej śmierci.

Pociesza ich i zapewnia, że potrafi iść na śmierć z podniesioną głową, bez okazywania strachu.

.... To mój ostatni obowiązek względem Was i Kraju. Więzienie było mi dobrą, czasem ciężką szkołą życia, ale były w nim także radosne, słoneczne dni...”

Była w nich serdeczna przyjaźń z Mimi (Rosemari Terwiel), młodą komunistką niemiecką, nienawidzącą faszystów i wierzącą w ideę zbratania całego świata w walce przeciwko nim; była serdeczną opieką strażniczki Grimpe, która pokochała Krystynę jak własną córkę; był przyjazd ojca do Berlina i uzyskanie z nim widzenie; były spotkania ze Zbyszkiem, a także wzajemne podtrzymywanie się na duchu piosenką i tańcami przez współtowarzyszek więzienną niedoli.

Prosi w tym liście:

„Nie rozpaczajcie, Kochani Rodzice, bądźcie dzielna Mamusienko. Pomyśl, że zawsze na Ciebie patrzę, i że boli mnie każda Twoja łza. Uśmiecham się do Ciebie wtedy, gdy Ty się uśmiechasz” (18.9.1943)

Przeniesiono ją do Halle, pozostało jej już niewiele dni do wykonania wyroku. Wysłała wtedy ostatni znak życia do Zbyszka (23 kwietnia 1944 r.) „Mein lieber Junge!”

Mała, dziś już połówka karteczka, zawiera kilka linijek wyraźnego pisma. Tina pisze w języku niemieckim. Zegnając Nikę dziękuje mu za jego miłość, która była jej opoką w najtrudniejszych chwilach. Kończy życzeniem, aby był zdrowy i pozdrawia go podpisując się: Deine Christine”.

Jej nazwisko i imię wypisane jest obaczką ręką na początku tej kartki.

Jeszcze w liście do rodziców 13 maja 1944 roku wspomina Zbyszka, który w tym czasie tułał się po różnych obozach niemieckich (Sachsenhausen, Buchenwald). Mówiono, że zagnął w nieznanych okolicznościach przy ewakuacji obozu przed wkroczeniem wojsk alianckich. No sili numer obozowy 41672/17.

Jednakże w reportażu M. Wańkowiaka (Kultura 28.VII.68 r.) „Stodoła w Gardelagen” jest wzmianka o Zbyszku Walt rlinie, synu lekarza, właściciela „Omegi” z Warszawy.

Rodzina przypuszcza, że wśród tysięcy zbrodniczo spalonych w stodole kazetowców był Zbyszek. Jego ojciec prowadził „Omegę” jako współwłaściciel zakładu, a nazwisko mogli przekreślić.

Gdy po wkroczeniu Amerykanie wykryli te straszne zbrodnie, spędzili dotychczasowych panów, aby ubrani odświętnie wydobywali zwłone włoki potem ciałowali je i zawijali w białe prześcieradła przed złożeniem do wspólnego grobu.

Oboje zostali więc w niemieckiej ziemi. Gdyby nie było listów z więzienia, nie mieliśmyby pojęcia, jak niezwykła, o ponadludzkiej prawie sile duchowej była dziewczyna, którą Zbyszek pokochał. Stefan Otwinowski uważa, że jest ona „swego rodzaju fenomenem psychologii, ukształtowanym jedynie z najlepszych i najprostszyc uczuć”.

Nie bez wpływu na taką właśnie jej postawę była miłość Zbyszka: szczerza, wierna i stała. Poznaliśmy ją z listów, które Tina ukryła w zakamarkach starego komina.

HALINA ŚLAWIŃSKA

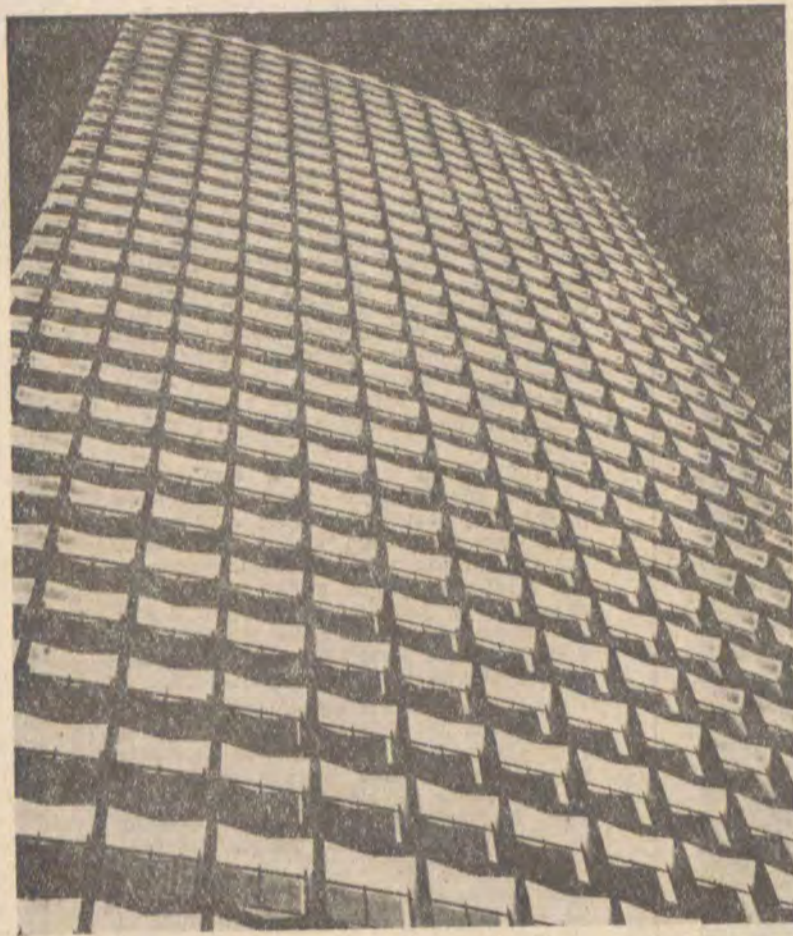
Gościnność miasta mierzy się podobno ilością hoteli. Jeśli to prawda, Łódź jest wyjątko w niegościnną. Ba, stosując to kryterium musielibyśmy zrewidować pojęcie staropolskiej gościnności w ogóle dla całego kraju. Średnio w Polsce na 1000 mieszkańców przypada dwa miejsca hotelowe. Norma ogólnoswiatowa wynosi teoretycznie 8 łóżek na 1000 mieszkańców, w praktyce jest poważnie przekraczana. W Szwajcarii na przykład wynosi 35, we Francji 30, w Związku Radzieckim, Czechosłowacji, Bułgarii i na Węgrzech zbliżona jest do wymaganego optimum.

Ale zostawmy na razie świat w spokoju, zajmijmy się bliżej sytuacją w naszym mieście. Wiadomo przecież, musielibyśmy po zniszczeniach wojennych budować najpierw domy i szpitale. Dopiero potem przychodzi czas na hotele, lecz, niestety, nie w Łodzi. Piękne nowe hotele powstały w Poznaniu, Warszawie, Krakowie i innych miastach. W Łodzi nie.

Ambicją mieszkańców każdego miasta jest najefektywniejszy jego wygląd, pozycja i reputacja. Hotele są dla przyjezdnych biletem wizytowym miasta. Przybysze oceniają miasto, jego poziom właśnie na podstawie poziomu usług hotelowych. Pod tym względem Łódź nie ma zbyt wielkiego powodu do dumy. Ażby nie być gołosłownym podam, że już 15 lat temu wszystkie hotele komunalne: „Polonia”, „Savoy”, „Mały” odmawiały miejsca w ciągu roku 30 tysiącom ludzi. Od tamtego czasu ruch bardzo się wzmógł, a liczba miejsc w tych hotelach wzrosła tylko nieznacznie. Obecnie sam Grand Hotel udziela dziennie 120-150 odmów pisemnych, telefonicznych i bezpośrednich, co stanowi około 50 tysięcy załatwionych odmownie w ciągu roku. Ale to jeszcze nie wszystko, „Orbis” udziela także odmów zbiorowych instytucjom gospodarczym i naukowym, pragnącym organizować na terenie Łodzi zjazdy, wystawy, kongresy o zasięgu ogólnopolskim, a nawet międzynarodowym z udziałem cudzoziemców.

Obecna modernizacja parku maszynowego w przemyśle lekkim spowodowała do Łodzi wielu zagranicznych specjalistów. Średnio przebywa w Grand Hotelu 75 osób z przeciętnym czasem zamieszkania ponad 3 miesiące. O Łodzi powtarza się przy każdej okazji, że jest olbrzymim ośrodkiem przemysłowym, naukowym, kulturalnym, handlowym, administracyjnym itp. Co to w praktyce oznacza? Dla przykładu weźmy handel zagraniczny. Znajduje się w Łodzi 5 wielkich centrów — Textilimport, Skórimport, Cetebe, Confexim, Coopexim, Timex. Każda z nich utrzymuje żywe kontakty z dziesiątkami krajów, z setkami przedsiębiorstw zagranicznych. Wiąże się z tym wizyty handlowców i przedstawicieli międzynarodowych firm. Istnieje projekt przeniesienia z Poznania do Łodzi międzynarodowych targów włókienicznych. Zapewnienie kupcom zagranicznym w czasie pobytu u nas odpowiednich warunków ma pewien wpływ (trudno go oczywiście przecenić, ale również błędem byłoby go nie doceniać) na rozwój kontaktów handlowych. W tej chwili prawie połowa gości Grand Hotelu, to wyłącznie cudzoziemcy.

Ponadto istnieje w Łodzi 7 zjednoczeń przemysłowych, które powodują znaczny napływ gości hotelowych, nie mówiąc już o setkach



KAROL BADZIAK

ŁOŻKO DLA GOŚCIA

zakładów, dziesiątkach instytucji, instytutów naukowych, szkół, placówek kulturalnych. Z samej tylko Warszawy do Łodzi przybywa dziennie około 150 osób, które zgłaszają się do miejscowych hoteli.

O tym, że w Łodzi jest mało hoteli (zaledwie 4), za mało miejsc hotelowych (zaledwie 1042), że wskaźnik tych miejsc jest najniższy ze wszystkich miast województwa (zaledwie 1,4 miejsca na 1000 mieszkańców) wiedzą przynajmniej ci, którzy powinni wiedzieć. Zresztą wskaźnik ten faktycznie jest jeszcze niższy, gdyż nie uwzględnia miast satelickich Łodzi, takich jak Pabianice, Zgierz, Ozorków, Aleksandrów, Konstantynów. Zadne z tych miast nie posiada przecież hotelu. Zdarzają się takie sytuacje, że zagraniczni kontrahenci kiedy otrzymują pokój bez łazienki, groźbę wyjazdu i zerwaniem kontraktu. Tymczasem Grand Hotel na 333 miejsca dysponuje 67 pokojami z łazienkami.

Historia łódzkiego hotelarstwa na tle dynamicznego rozwoju miasta jest dość znamienita. Im samo miasto bardziej się rozwija, nabiera wyższej rangi, tym poziom usług hotelowych się zmniejsza. To zrozumiałe, bez inwestycji inaczej być nie może. Żeby hotel dobrze funk-

cjonował musi być eksploatowany w granicach 60-70 proc. Łódzkie hotele eksploatowane są w 90, a nawet 100 procentach, co automatycznie obniża ich poziom i prowadzi do przedwczesnej dekapitalizacji urządzeń. Łódzkie hotele przez wiele lat w ogóle nie były remontowane, dopiero tragiczny wypadek z windą w Grand-Hotelu, który zdarzył się kilka lat temu, stał się w pewnym sensie sygnałem alarmowym i władze centralne skierowały wtedy pewną ilość funduszy na modernizację. Był najwyższy czas. Tak się przypadkowo składa, że wszystkie hotele, które w tej chwili znajdują się w eksploatacji (prócz Małego) mają ponad pół wieku. Grand został oddany do użytku w 1914 roku, Savoy w 1913, Polonia w 1912 r.

Jako wymowną ciekawostkę mogę podać, że od 1900 roku liczba hoteli w Łodzi stale maleje. W 1900 roku istniało 18 hoteli, w 1910 — 17; w 1919 — 7, w 1920 — 6, w 1939 — 7, w 1969 — 4. Oto nazwy przedwojennych hoteli: Grand-Hotel, Savoy, Polonia, Manteufel, Monopol, Klukas. Po wojnie hotel Klukas (Cegielniana 34) przekształcony został w dom akademicki. Hotel Polski (Piotrkowska 3) w przy-

(Zachodnia 45) także w dom studencki, Monopol (Próchnika 7) zajęły różne instytucje i osoby prywatne.

Pojawiła się swego czasu koncepcja renowacji tych hoteli. Powołano nawet w tym celu specjalną komisję, która po zbadaniu całości sprawy doszła do wniosku, że renowacja jest zbyt kłopotliwa, a spodziewany efekt ekonomiczny nieproporcjonalny do nakładów finansowych. Uznano, że rzeczą właściwszą będzie budowa nowego hotelu na 400 łóżek. Kosztorys określono na 28 milionów złotych.

Sprawa budowy nowego hotelu zapoczątkowana w 1955 ciągnęła się do roku 1959, kiedy to wreszcie rozstrzygnięto kwestię lokalizacji. Miał zostać wybudowany w rejonie ulic Kilińskiego, Sienkiewicza i Traugotta. Koszt budowy wzrósł przez ten czas do 30 milionów zł. Projekt przewidywał 200 pokoiów 1-osobowych, sto pokoiów 2-osobowych, razem 400 miejsc, 14-piętrowy gmach o kubaturze 45 tys. m sześć. z perspektywą rozbudowy do 800 miejsc. W podziemiach hotelu — olbrzymi nowoczesny parking samochodowy. Dokumentacja techniczna znalazła się w opracowaniu. Termin rozpoczęcia budowy: rok 1962, termin zakończenia: rok 1965. Na projekt architektoniczny rozpisano konkurs z rozmachem i z możliwością udziału architektów zagranicznych. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpiło w 1964 roku. W rezultacie, prace nad dokumentacją opóźniły się i w tej chwili znajduje się ona na etapie opracowania projektu technicznego. Na dodatek termin oddania i tej dokumentacji jest z kolei zagrożony. Projekt ten, choć konkursowy, należy mniemać, iż się przez te lata już nieco zestarzał. Jest bowiem rok 1969, tzn. od momentu podjęcia decyzji minęło już 10 lat, a od planowanego terminu budowy minęło lat 7. Trwa już 10 lat remont kapitalny Grand Hotelu, który niegdyś był jednym z najlepszych hoteli w Europie, dziś jest najlepszy w Łodzi.

W ostatnim okresie podjęto decyzję i trwają już przygotowania do budowy drugiego nowego hotelu w Łodzi przy zbiegu ulic Zamenhofa i Al. Kościuszkii. Też 14-kondygnacyjny, też 400 miejsc, tylko że w pokojach 2-osobowych. Koszt budowy 40 milionów złotych. Nowy hotel ma być oddany do użytku w 1972 roku. Zarządzać nim będzie LOTIW. Ciekawe kto pierwszy naprawdę wybuduje w Łodzi nowy hotel. Wszyscy się będziemy z tego cieszyć, prócz „Orbis”. „Orbis” jest tym cokolwiek zaniepokojony. Rzecz polega na tym, że po wybudowaniu dwóch hoteli o wyższym standardzie niż Grand nastąpi zmiana ról: gospodarka komunalna będzie obsługiwała cudzoziemców, a „Orbis” krajowców.

W tej sytuacji „Orbis” zainteresował się budową hotelu miejskiego przy ul. Kilińskiego i Sienkiewicza, wyraził chęć przejęcia go. Pomyśl wyjdzie się o tyle słuszny, że w wypadku budowy hotelu przy ul. Kilińskiego i Sienkiewicza, wyraził chęć przejęcia go. Pomyśl wyjdzie się o tyle słuszny, że w wypadku budowy hotelu przy ul. Kilińskiego i Sienkiewicza, wyraził chęć przejęcia go. Pomyśl wyjdzie się o tyle słuszny, że w wypadku budowy hotelu przy ul. Kilińskiego i Sienkiewicza, wyraził chęć przejęcia go.

Stary Grand-Hotel mógłby spełniać jedynie rolę uzupełniającą,

gdyż skazany jest w dalszym ciągu na niekończące się remonty kapitalne, niespodziewane awarie i uszkodzenia. Jego secesyjne wnętrza mają nawet swój urok, lecz więcej w nich wartości muzealnych niż funkcjonalnych.

Chodzi o to, by „Orbis” porozumiał się z władzami miejskimi. Zresztą w końcu nieważne kto, ważne kiedy i jakie będą w Łodzi hotele.

Listy DO REDAKCJI

DROGA REDAKCJO!

Jako społeczny opiekun zabytków PTTK i przewodnik turystyczny po Łodzi, chętnie zwrócić uwagę Waszego pisma — które zajmowało się kiedyś sprawami łódzkiej secesji — na niszczenie szeregu ciekawych wyrobów łódzkich rzemieślników z początków naszego stulecia. Mam na myśli stare, kute kraty ozdobne w bramach budynków, które są obecnie rozbiierane — np. ozdoba bramy w budynku przy ulicy Zachodniej nr 84.

Na pewno warto choć kilka z ciekawych wyrobów rekonstruować przed zniszczeniem.

Dlatego też proponuję utworzenie w Łodzi muzeum secesji. Taka placówka w naszym mieście ma pełne prawo istnienia. Przecież to Łódź posiada jedną w Polsce ulicę zabudowaną prawie całkowicie secesyjnymi budynkami, ale ulica Piotrkowska nie monopolizuje budownictwa eklektycznego, stanowi jedynie zwarty kompleks budownictwa tej epoki. Można by jeden z rozsznycanych po całym mieście secesyjnych pałacyków przystosować do spełnienia nowej roli.

Osobliwie siedząc w muzeum secesji najchętniej widziałbym w pałacyku przy ulicy Wólczańskiej 31/33. Jest to przecież jeden z piękniejszych budynków łódzkich wykonanych w tym stylu. Wyposażenie wnętrza nie powinno przedstawić większych trudności. W chwili obecnej secesyjny wyrobny są jeszcze dość łatwe do zdobycia, ale co będzie za parę lat nie wiadomo. Secesja jest modna na całym świecie. Wielu zagranicznych turystów przyjeżdża do Polski dlatego, że bez żadnych trudności mogą nabyć i wywieźć z Polski wyrobny secesyjne.

JAN ZIENKIEWICZ

JERZY WILMAŃSKI



Bolesław Busiakiewicz — to już właściwie nie jest tylko imię i nazwisko. To jest hasło i symbol — to 25 lat niezmiernie popularnych radiowych „Zagadek muzycznych”, to encyklopedia muzyki, historia polskiej radio-

fonii, to kopalnia anegdot. A jednocześnie jest to przecież autor radiowy w pełni sił twórczych, pełen pomysłów i inwencji, który kiedyś powiedział: „Jeśli do roku 1970 nie ukaże się polsku biografia Enrico Ca-

ruso — przyrzekam, że ja ją napiszę...” Rok 1970 u progu — pan Bolesław zabiera się do napisania biografii wielkiego śpiewaka.

Oddajmy jednak głos Bolesławowi Busiakiewiczowi.

— Jestem łodzianinem i tu po I wojnie światowej rozpocząłem moją pierwszą pracę. Byłem polonistą w łódzkich szkołach średnich. Na moje dalsze losy wywarło jednak wpływ nie byle jaki Ministerstwo Oświaty i Wyznań Religijnych. Otóż wydano zarządzenie, że nauczyciele szkół średnich muszą mieć cenzus uniwersytecki. Przerwałem więc pracę aby rozpocząć studia na uniwersytecie poznańskim, który wówczas nosił nazwę Wszechnicy Piastowskiej.

I tu się zaczęło! Czegóż ja w tym Poznaniu nie robiłem! Studiowałem w wydziale filozoficznym, pu-

blkowałem artykuły w „Gazecie Poznańskiej”, organizowałem koncerty i odczyty, byłem kierownikiem artystycznym rewii, pracowałem w poznańskim radio, redagowałem organ rozgłośni „Tydzień Radiowy”.

Z Wielkopolską Agencją Koncertową to było tak. Otóż był w Łodzi dzierżawca sali Filharmonii Alfred Sztrauch, który gdy wyjeżdżałem na studia namówił mnie, abym podobną rzecz zorganizował w Poznaniu. Powstała więc ta agencja wraz z sekcją „żywego słowa” — aranżująca imprezy najwybitniejszych artystów i pisarzy. Występowali więc u mnie pianiści: Sliwiński, Backhaus, Rabecewiczowa, Szpinalski, Koczalski, Ungar, Uniński; występowały także śpiewaczki jak Ada Sari, Maria Labia, Ewa Bandrowska-Turska; skrzypkowie — Huberman (jego koncert ko-

ształ 3 tysiące dolarów) Barewicz, Irena Dubiska, zorganizowałem wspólny koncert Karola Feliksa i Stanisławy Szymanowskich, śpiewał w Wielkopolsce Wertyński i uczeń Carusa — Nardelli.

No, tak — to był początek lat dwudziestych — radia jeszcze wówczas nie było więc wedrowaliśmy z koncertami i odczytami od Kalisza po Gdańsk. Ale potem — był to już chyba rok 1925 — coraz częściej pojawiały się w prasie informacje o radio. Interesowałem się tymi sprawami, bo zawsze zajmowały mnie rzeczy niecodzienne — a przecież na owe czasy była to prawdziwa rewelacja. Kiedy więc powstała w Poznaniu prywatna rozgłośnia radiowa — zacząłem tam pracować. Redagowałem też pismo „Tydzień Radiowy” — potem objął po mnie redakcję Ze-

non Kosidowski. Mnie natomiast całkowicie pochłoniął eter — zostałem spikerem i autorem radiowym. Znana była wówczas w Poznaniu moja audycja „Silva rerum” — półgodzinny — jak się dziś mówi — blok ciekawostek i sensacji ze świata kultury. Mam na koncie pół tysiąca tych audycji.

Mają kto wie, że to ja wpadłem na pomysł radiowych koncertów życzeń tak dziś popularnych. Rozgłośnia poznańska nadała pierwsze moje audycje tego typu — potem, po powrocie do Łodzi redagowałem koncerty życzeń już nie gratisowe, ale za opłatą. Z pieniędzy za koncerty Łódzka Rozgłośnia Radiowa wybudowała w Łodzi ochronkę dla ociemniałych dzieci.

No i wywiady! Robiłem dziesiątki wywiadów radiowych. W roku 1930 z Miss Polonia — Zofią Batoryką

Solina

o brzasku

Pół roku, to niemało, jeżeli dzień w dzień po dziesięć godzin macha się siekierą i syczy przez cały czas jazgot pił do cięcia drzewa. Kiedy przed dwoma laty odchodziłem z tego wszechobecnego lasu, zapamiętałem jesienne czerwieniejące buki na łagodnie opadających ku Sanowi wzgórzach i poszarpaną wiatrem siateczkę żył na kłopotliwych liściach, które, gdy spojrzeć na nie z dołu, podobne są do ludzkiej dłoni.

Teraz wracałem i choć minęło przeszło dwa lata od tamtego czasu wszystko wydawało się znajome. Witano i zapraszało. Niebo robiło się coraz bardziej atramentowe a powietrze coraz chłodniejsze. — Trzeba znaleźć nocleg — postanowiłem kiedy ujrzałem ciągnącą się w dolinie wioskę. Chałupa dotykała chałupy. Odszukałem taką, na której była przybita czerwona tabliczka z napisem „Sołtys”.

— Sprawa wygląda tak — powiedział sołtys, kiedy wyluszczyłem swą prośbę — w mieszkaniu miejsca nie mam, a w stodole w jednym sąsiadku jest pełno żyta, w drugim co prawda jest trochę miejsca, ale tam już cztery miesiace śpi taki jeden z koniem.

— Z koniem?

— No, konia to trzyma u mnie w stajni, tylko że siano albo obrok to już on mu sam daje. A może zeżreć ta jego szkapa i pożytku z niej żadnego. Chciałem do roboty wziąć, bo dwa koniska mam, ale to mało, roboty w tym roku jak nigdy. Koniowi owsa a jemu też by się jedzenia nie żałowało, ale on nie, uparł się, że to nie do pluga, ani wozu tyłko koń pod wierzch. No sam pan zobaczy czy tak wygląda wierzchowiec — ciągnie mnie do stajni.

— Koń jak to koń — mówię, choć niczego nie widzę w tym półmroku.

— Więc jak on się zgodzi to możesz przespać.

— Co miałby się nie zgodzić. A parę snopków można zrzucić...

— Tylko te wymięcone. I żeby tam nie palić. I powiedz tamtemu, że chętnie bym pożyczyl od niego...

— Powiem, ale jak dotąd nie pożyczyl to już chyba nic z tego.

Tego z koniem poznałem już przed dwoma laty. Skończył trzydziestkę i był już w wieku, w którym ludzie się „statkują”. Miejscowi wysutać go chcieli z jakąś gospodarską córką, ale on tylko ramionami wzruszał.

— Mało to kobiet na świecie, żeby się z jedną mordował — mówił — aż dali mu spokój.

Pewnego razu zniknął na cały tydzień. Wrócił z koniem.

— Zawsze chciałem mieć, a wy tu sobie śmichów-chichów nie róbcie — mówił, kiedy niektórzy drwili sobie z tego nabytku.

— Motocykl byś sobie kupił, tańszy i szybszy — doradzali go niewczasie. Ktoś powiedział na niego „kowboj” i tak już zostało. Wtedy zacząłem pracować z nim w jednej parze. Bo parami się wtedy pracowało. Najpierw on pilował a ja waliłem siekierą, a potem on dawał mi piłę, a sam brał się do siekiery.

Szarpanąłem wrota stodoly i wszedłem do środka. Ciemno było, jak w piekle.

— Czego — doleciało z najdalszego kąta.

— Cześć kowboj — krzyknąłem.

— Ty mi tu nie... — zaklął kowboj. Zapalił baterijkę i omiół mnie smugą jaskrawego światła.

Przez kilka chwil stałem oślepiony, mrugając oczami.

— Jakbym cię znał. Tylko nie wiem skąd.

Milczałem przez chwilę, pozwalając mu się domyślać. Zgasił baterijkę i znów było ciemno.

— Miałeś długie włosy?

— Tak.

— A brodę?

— Jasne, że miałem!

— Dylem — przypomniał sobie kowboj, a może już wcześniej poznał tylko tak sobie żartował, że niby nie pamięta.

Przegadaliśmy całą noc, a dobrze nam się gawędziło, bo kowboj półlitrowkę z jakimś snopką wyciągnął, a potem rękę w inny snopkę wsadził i z mendeł świeżutkich jajek wygrzebał. Piliśmy surowe, dziurki tylko robiąc szpilkami od paska przy spodniach.

Spaliśmy potem przez cały dzień, a wieczerem Kowboj smutny się zrobił, a potem niczem nie kazal się dziwić, a zwłaszcza temu, co za chwilę powie:

— Z tym koniem, to już się namyśliłem. Do rodziny na wieś go oddam. Ale pracować nim w polu nie pozwolę. Najwyżej w niedzielę do kościoła i z powrotem niech bryczkę ciągnie. No, aż mi ulżyto kiedyś to sobie obmyślił.

— Bardzo ładnie to wykombinowałeś. Spokój teraz będziesz miał i nikt ci się więcej naprzykrzać nie będzie.

Widziałem, że był zadowolony, kiedy pochwalilem go w ten sposób. Mówię:

— Rano chciałbym do Soliny iść i te cuda poglądać. Zapora i elektrownię zwłaszcza. Ciekaw jestem.

— Dwadzieścia pięć kilometrów. Przez las dwadzieścia. Jakbyś chciał to też bym się z tobą przeszedł bo czasu mam dużo, a do roboty nic.

Wstaliśmy o pierwszym brzasku.

Mieliśmy pójść na skróty i, według słów Kowboja, za cztery godziny być w Solinie.

Las stał nieruchomo. Zawsze ten sam, a przecież inny, w każdym stuku dzięcioła w martwy pień i każdym poszumie wiatru w koronie niebotycznych drzew.

Potem coraz głośniejsze stawały się znajome stuki siekier i warkoty mechanicznych pił. Konie zaprzężone parami, do odartych z kory drzew, ciągnęły po miękkiej leśnej ziemi zarośniętej mchami te martwe kłocce, orząc nie zamputowanym jeszcze konarem ziemię.

Znów szliśmy w milczeniu jakby w obawie, że można spłoszyć nastrój lasu, który ogarnął i nas, a wisiał w rześkim i czystym jak kryształ górski, powietrzu.

Wyszliśmy już z lasu i byliśmy na asfaltowej szosie.

Jeszcze tylko kilka zakrętów i staliśmy na zaporze.

— Długość 660, szerokość 15, a wysokość 82 metry — zakomunikował Kowboj zapamiętane cyfry. — Chłopaki mówili, że najgorzej było zimą w sześćdziesiątym drugim. Woda wtedy rozwalila grodzę, za której osłoną kładziono fundamenty. Sekcjami. Zmyła wtedy wszystko, doszczętnie. Mało kto wtedy wędził jak się takie coś buduje. Tam gdzie miały stać fundamenty nie mogło być wody. Od grodzono prawie koryto Sanu od lewego. I cały czas praca. Robota cholerna. Dzień i noc. Latem i zimą. Dwa lata temu, wczesną wiosną woda znów zaczęła zalewać turbinę. Mało brakowało, a rozniósłaby całą elektrownię. To było w marcu. Przymrozek. A w lipcu miało być otwarcie i uroczystość. Ludzie przewiązani w pasie linami rozbijali łomami lód i nurkowali w tę wodę. Zatykali i łatali dziury. Bez przerwy. Parę dni i nocy. Aż zatkali.

Reszta powiedział inżynier. Tak, jak i my chodząc od jednej do drugiej strony tej zapory i popatrywał w dół, gdzie po jednej stronie było trzy, cztery metry do powierzchni wody, a po drugiej osiemdziesiąt dwa.

— Elektrownia 120 MW mocy. Produkcja gwarantowana 112 GWh. Dwa turbo-

zespoły z turbinami Francis'a. Mogą pracować jako turbiny, albo jako pompy. Pompują wtedy z dolnego zbiornika do górnego.

Chodziliśmy, a on pokazywał wszystko, tak, że ręką prawie można było dotknąć. — Przed wojną o zbudowaniu w tym miejscu zapory mówił profesor Pomianowski z Politechniki Lwowskiej, ale dopiero w latach sześćdziesiątych jego pomysł doczekał się realizacji.

Według założeń magistra inż. Bolesława Kozłowskiego opracował dokumentację zapory główny jej projektant mgr inż. Feliks Niezkie. Jeszcze w 1960 roku nie było pełnej dokumentacji, lecz załoga, która kończyła budowę mniejszego ujęcia wodnego w Myczkowcach, uzyskała osobistą zgodę premiera na rozpoczęcie budowy bez pełnej dokumentacji. Rozpoczęto wstępne prace. Organizowanie dróg dojazdowych. Rok później minister Budownictwa i Przemysłu powołał Karpacie Przedsiębiorstwo Budowy Zapór Wodnych w Solinie, obecną Hydrobudowę 10, która była generalnym wykonawcą tej inwestycji. Potrzebowano kruszywa, cementu, betonu. Z odległego o 2 kilometry zakładu San-1, taśmociągami dostarczano kruszywa czerpanego z dna rzeki. Kiedy wyczerpano złoża, zaczęto eksploatować kamieniołom „Bóbrka”. Do tego rodzaju budowli najbardziej przydatny był cement marki „250”, dostarczano go z No-

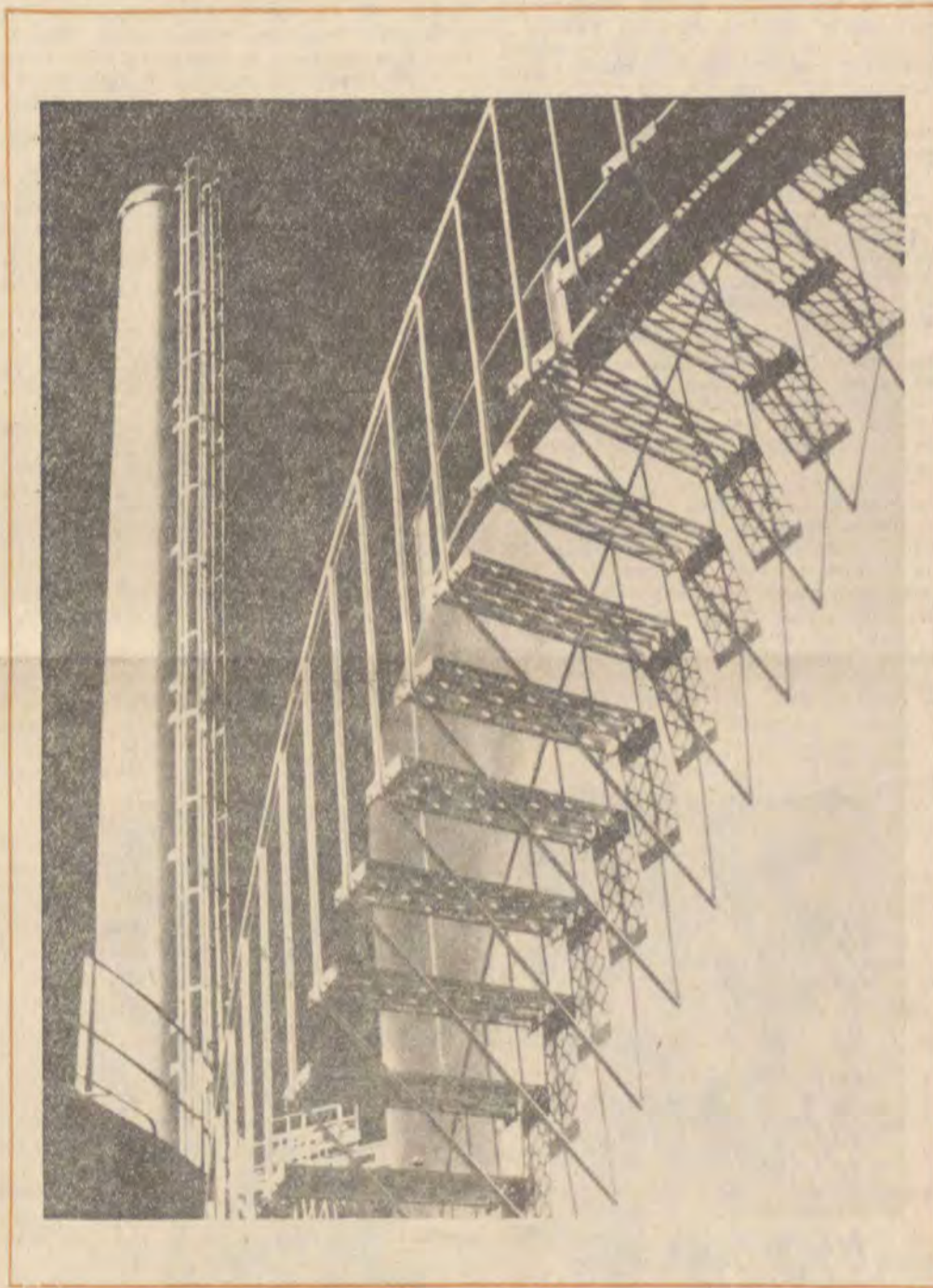
wej Huty. W Czechosłowacji kupiono betoniarke. W Wielkiej Brytanii kupiono dźwig linowy do podawania masy betonowej. W każdym kuble było 6,5 m sześciennego betonu. Dla budowy niezbędna była centralna kotłownia i kompresoria, pompownia, zakład prefabrykacji, baza remontowo-sprzętowa i transportowa.

Przy budowie zatrudnionych było ponad dwa tysiące pracowników, wielu wśród nich było chłopów z okolicznych wiosek. Niemało było z nimi kłopotu. Kiedy wypadła im pilna praca w gospodarstwie nie przychodzili po prostu na budowę. Zarabiali ponad 3 tysiące, a wykwalifikowani cieśle i zbrojarze ponad 7 tysięcy, wliczając w to 20-procentowy dodatek bieżączki.

Jest już zmierzch. Autobusy ciągle jeszcze przywożą i odwożą wycieczkowiczów, skuszonych samą nazwą „Bieszczady” i tą zaporą. Najsylniejszą i największą jak dotąd w Polsce.

Szliśmy teraz już w trójkę na drugi brzeg Sanu, aby zobaczyć jak z daleka wygląda ten klocek betonu. Szliśmy drogą koło mostu, później na przełaj, przez łąkę, potem wspinaliśmy się ścieżką w górę.

Nad Soliną zapadł zmrok. Doszliśmy już do tego miejsca, skąd można było zobaczyć jak wygląda zapora w czerwieni zachodzącego za góry słońca, które zgasło nagle, jak światło wielkiej budowy.



piękną kobietą, bardzo mądrą i dobrą.

Dziś Zofia Batycka mieszka w Stanach Zjednoczonych, korespondujemy ze sobą — odnalazła mnie w latach pięćdziesiątych, kiedy opublikowałem w jednej z gazet wspomnienie o tamtym wywiadzie z najpiękniejszą kobietą Polski.

Odpowiedź Batyckiej na pytanie o Kiepurę nie była jednak złośliwością. „Chłopak z Sosnowca” był bowiem zaradczym, trywialny i obecny. Również przeprowadziłem z nim wywiad. Rozmawiałem z Kiepurą wstępnie w hotelu i byłem świadkiem takiego dialogu. Sekretarka melduje: „Mistrzu, telefonują z Berlina (Kiepura miał tam za parę dni koncert), że polscy dziennikarze, akredytowani w Niemczech, chcą pana uroczystie powitać”. — „Niech mnie pocałują... gdzieś” —

zareplikował Kiepura akcentując wyraziście ostatnie słowo.

Wywiadu z Kiepurą nie zrobiłbym zresztą, bo mistrz miał jakieś pretensje do dziennikarzy. Udzielił mi natomiast wywiadu, w którym mówił, że będzie śpiewał w mediolańskiej Scali. Toscanini, który był dyrektorem Scali oświadczył wówczas, że nie mu o tym nie wiadomo i że żaden Kiepura śpiewać tu nie będzie. Blamaż był dość niemły — więc mistrz uznał, że to dziennikarze są winni. A Toscanini był uparty. Nie zgodził się na przykład na odegranie hymnu faszystowskiej Falangi. „Obawiam się — zareplikował ktoś „zpretorianów” Mussoliniego — że Duce wyciągnie z tego wniosek”. — „Ja już wyciągnąłem — odparł Toscanini — jutro wyjeżdżam z Włoch”. I wyjechał do Nowego Jor-

ku. Tak więc Kiepura śpiewał w Scali dopiero po rezygnacji Toscaniniego.

Zrobiłem jednak wywiad z Kiepurą. Na jego odmowę powiedziałem mu po prostu, że szkoda, bo wywiad z panią Batycką był w Poznaniu rewelacją. „Batycka miała wywiad w radio?” — spytał Kiepura. „Tak — odpowiedziałem”. — „To ja też będę miał” — zdecydował.

Był to oczywiście świetny śpiewak — repertuar przygotowywał niezwykle starannie i pracowicie.

W Poznaniu poznałem też innego oryginała — a mianowicie Witkacego. Poznał mnie z nim brat kapelmistrza Opery Poznańskiej doktor Leszczyński. Witkacy przyjechał wówczas na premierę swojej sztuki „Tumor Mózgowicz”. Spotkaliśmy się w mieszkaniu Leszczyńskie-

go — poprosiłem artystę o zrobienie portretu. Wyraził zgodę, ale kiedy przyszedłem do niego pozować — zdębiałem. Witkacy zaczął mnie malować na papierze koloru... buraczkowego. Kiedy nieśmiało zapytałem dlaczego akurat takie tło wybrał — Witkiewicz wzruszył ramionami i rzekł: „A bo co? Generała Hallera też malowałem na buraczkowo...”

W poznańskim radio pracowałem siedem lat — do roku 1934. Potem wygrałem konkurs na pierwszego spikera w rozgłośni toruńskiej i przeniosłem się tam. Trzy lata mieszkałem nad Wisłą przy przepięknej ulicy Żeglarskiej — a następnie w styczniu 1937 wróciłem do mojej rodzinnej Łodzi. Po kilkunastu latach znów na „starych śmieciach”.

Łódź miała wówczas małąką rozgłośnię — radiostacja była przy ulicy Wołowej,

studio na Radwańskiej. Program nadawaliśmy tylko po południu z wyjątkiem niedziel kiedy program szedł cały dzień. I tu robiłem wywiady m. in. z Ludwikiem Soliskim, słynnym bokserem Henrykiem Chmielewskim, (który ożenił się w Bostonie z Polką nazwiskiem... Henryka Chmielewska), robilem koncerty życzeń, audycje słowno-muzyczne.

1937 rok — to był akurat dwudziesty rok mojej pracy dziennikarskiej. W roku 1917 opublikowałem w dodatku literackim „Kurier Łódzki” esej poświęcony życiu i twórczości zapomnianego poety Szanderowskiego. A potem tych jubileuszy i rocznic namnożyło się wiele — 25-lecie pracy w radio, 35-lecie pracy w radio — w przyszłym roku moje „Zagadki muzyczne” dobiją do czterdzięcia — jest to chyba najdłuższa cykliczna audy-

cja w Polskim Radio. Oczywiście nie jestem w stanie obliczyć ile przez te czterdzieści kilka lat radiowej pracy zrealizowałem audycji — na pewno parę tysięcy.

★ ★ ★

Kiedy w lipcu 1961 roku Bolesław Busiakiewicz, bodaj najstarszy polski radiowiec odchodził na emeryturę zanucił sobie z melancholią: „I tak się trudno rozstać...” Ale kiedy w trakcie naszej rozmowy usłyszałem z głośnika zapowiedź spikera z Warszawy, pan Bolesław powiedział: „O, stary Świętochowski zaraz zapowie mnie „Zagadki muzyczne”...”

— Więc jednak nie było to rozstanie ostateczne?...

— Znam tylko jedno ostateczne rozstanie, ale o nim jeszcze nie myślę. Mam natomiast sporo zaplanowanych rzeczy do zrobienia.

Etana lugal-am

Orzeł unosił się wolno, majestatycznie. Zatokował krąg nad miastem jeden, drugi, poszybował nad winnicę. Zakolował nad podmiejskim pastwiskiem, zaniepokoił pasterzy. Pewni, że zaatakują jagnięta, gotowali się do obrony. Już uderzył skrzydłami w powietrze. Tak silnie, że gorąca fala wionęła im w twarz.

— Teraz, teraz nas doświadcz — powtarzali trwożnie.

Przerażone koźleta wydały bek trwogi. — Teraz, teraz uderzy w nasze stada — skarżyli się niebiosom, na których rozsiadł się bóg-słońce Utu.

Ale potężny Utu nie słyszał ich skarg, nie widział ich przerażenia. Nie obchodził go w tej chwili świat. Była tylko ona. Nowo odkryta, niecodzienna, boska. Dzień czyna pochylała się nad źródłem, uśmiech nęła do błyszczących z dna kamyków i zacierpnięta dzbanem ożywej wody.

— Do mnie tak się uśmiecha — pomyślał Utu i pogładził ją pieszczotliwie promieniami po twarz.

Dziewczyna zamrugnęła, wzbraniając się przed niespodzianą pieszczotą. Potem postawiła na ramieniu dzban bogato zdobiony ochrą i poniosła wodę pełną migotliwych promyków do swego domostwa, na zachodnie przedmieście Kisz.

Orzeł, zamiast runąć w dół na przerażone stada, wzbił się w niebo budząc pow szechnie zdziwienie pasących bydło i nie zasłużone dziękczynienie bóstwu za odwrócenie klęski.

Etana oszłamona falą powietrza, przez które przedzierał się ptak, przygnał mocno do jego szyi. Palce worał w pióra. Dotykał teraz ciepłej skóry pokrywającej de likatną osłoną najwspanialsze mięśnie świata, jakie dane mu było kiedykolwiek oglądać.

Zawsze pełen podziwu dla króla ptaków, nigdy nie potrafił w pełni wyrazić swego zachwytu dla jego odwagi i hartu. Sam był dzielny, niejedno przeżył, niejedno pokonał niebezpieczeństwo. To o nim mówiono: Etana lugul-am, „ten który zjednoczył wszystkie kraje”.

Od czasów, gdy królestwo zostało spuszczone z niebios, gdy królestwo było w Eridu, od czasów, gdy królestwo stało się w Kisz, on jeden przewyższył umiejętno-

ściami i odwagą swoich poprzedników. On jeden nie był jak Kalibum psem, ani jagnięciem jak Kalumu, ani skorpionem, jak Zukakip. On jeden stał się prawdziwym pasterzem pasterzy, posłuszny woli Enki, boga porządku.

Orzeł wzbijał się coraz wyżej. Etana spojrział w dół. Z tej wysokości doskonale widział swe miasto i przyległe winnice, soczyste łąki i dalej położone gliniaste tereny spękanej ziemi, gdzie nie dotarły jeszcze kanały słodkiej wody.

Utu rzucił powłóczyście spojrzenia na Kisz, wydłużając cienie płaskich domostw na wąskich uliczkach. Zmieszane głosy miasta były w niebo. Kisz o tej porze, po upalnym dniu ożywia się. Robotnicy wracają do swych domów. Idą garncarze o dioniach pełnych resztek ceramicznej gliny, rzeźbiarze pokryci pyłem obrabianego kamienia. Idą ci, co wyplatają kosze z wikliny i ci, którzy robią broń dla żołnierzy. Niedługo zejść z pól rolnicy, wrócić z łąk pasterze. Kobiety zaczną doić krowy. Nadchodzi pora posiłku i spoczynku. Już tylko ostatnie dziewczyny, z jakiegoś powodu zapóźnione, biegną prawie z dzbanami wysokimi na ramieniu, roniąc po drodze krople wody. Już tylko dzieci pozostają na dziedzińcach umykając spod opieki zapracowanych rodziców. W niektórych domostwach odezwie się muzyka.

— Dźwięk lilis, czy mesi obwieści porę spoczynku?

— Tylko w moim domu nie ma spokoju — myślał Etana — tylko w moim białym gipur...

*Mój ukochany spotkał mnie,
Wziął ze mnie rozkosz, cieszył się wraz ze mną.*

Spiewała, gdy wracał do domu po ciężkim dniu pracy. Odpowiadał:

Może bym pocałował tę piękną dziewczynę?

Może bym pocałował piękną Ninmu?

Wówczas uśmiechnęta zarzucała ramiona na jego twardą szyję i szeptała do ucha:

*„Pocałuj piękną dziewczynę,
Pocałuj piękną Ninmu,
Dla mojego króla sprawię, by legł na miodowym łożu”.*

Tak było każdego dnia.

Jeden miesiąc brzemienności był dla niej jak jeden dzień. Dwa miesiące — jak dwa dni. Pierwszego dnia dziewiątego miesiąca śpiewała mniej radośnie, drugiego dnia dziewiątego miesiąca ledwo zarzuciła mu ramiona na szyję, trzeciego dnia zaledwie wymówiła.

„Pocałuj piękną...” i osunęła się na ziemię. Ostrożnie przeniósł ją na łożo. Nie odstępował całą noc, nie odstępował cały dzień.

Piękną małżonką już nie śpiewała. Usta zagryzała z bólu, dłonie zaciskała na pościeli. Z oczu płynęły jej łzy.

Orzeł wznosił się tak wysoko, że Kisz wyglądało teraz jak kilka ułożonych obok siebie tabliczek dobrze wysuszonej gliny. Potężne życiodajne rzeki: Tygrys i Eufrat, wyznaczające granice żyznych krań były jak rzemyczki z cienkiej, dobrze wyprawionej skóry, porzucone na piasku. Złowieszco błyszcząca biel lotnych wydm pustynia z zapóźnioną karawaną, która widocznie zbłądziwszy gwałtownie miotała się krążąc w koło w poszukiwaniu oazy.

— To sprawa złego Udug — pomyślał Etana. — Żeby tylko zdążyli nim wstąpić zle wiatry.

Orzeł przyspieszył lotu.

Nie śpiewała, nie prosiła o nic. Jej lśniąca włosy rozpyły się na posłaniu wokół głowy. Jej drobne usta popękały jak pola dotknięte suszą. Milczące niewolnice splecionymi z liści palmowych wachlarzami osłabiały działanie upału. On sam, Etana, zwilżał skronie chorej, i czoło i usta. I szeptał:

„Zły Udug, który nie słuchasz żadnego błagania

Zły Udug, który wszedłeś w nasze progi

Zły Udug, który czynisz, by nikt nie zaznał spokoju

Musisz wyjść.

O Dimme, Dimme, które ludzi wykrwawiają

Musicie z niej wyjść”.

Piękną małżonką witał się w bólach coraz bardziej.

— Tylko roślinna narodzin może ją uratować — powiedziała jakby do siebie siedząca u stóp pani stara niewolnica.

Etana chwycił się rzuconej myśli. Jeszcze w dzieciństwie słyszał, jak babka opowiadała, że jest takie ziele, którego jedna, jedyna gałązka dokonuje cudów. Ale zdobyć ją niełatwo. Rośnie bardzo, bardzo daleko i bardzo wysoko. Tam, gdzie człowiek jeszcze nie stanął i gdzie najodważniejsze nawet górskie zwierzęta oblatuje strach. Niejeden śmiałek chciał ją zerwać.

Piękną małżonką znów owładnął chorobliwy pólseń. Etana otarł jej skronie. Wiedział już, co uczyni. Uśmiechnęła się nieprzymtomnie poruszając wargami. Jakby odgadła jego myśli:

„Mój ukochany spotkał mnie...”.
Słońce na horyzoncie stopniowo zanurzało się w morzu, ustępując miejsca ciemności nocy.

Żeby tylko zdążyć przed pełnym mrokiem.

Orzeł pracował skrzydłami coraz szybciej.

Znikła karawana, Kisz i rzeki. Już tylko majaczyła plama łąd i szare, nieruchome cielsko morza.

Nagle o stopy Etany otarł się zimny podmuch wiatru.

— Czyżby Kingaludda, bóg złych wiatrów, wyruszył na hulankę?

Spojrział w dół.

— Prędzej, prędzej!

Kingaludda zwoływał kompanów. Etana wyraźnie rozróżnił przeraźliwy śmiech krwiożerczego Udug i jego druha Galla.

Nad pustynią kłęby pyłu. Pijane demony obrzucają się chmurami piasku.

— Biedna karawana, jeżeli nie dotarła do oazy.

Wycie wichrów coraz gwałtowniejsze.

Orzeł zmienił kierunek lotu. Pędzili pionowo.

— Oddalić się od rozpasanych bóstw. Jak najszybciej oddalić się!

Etana spojrział za siebie. W prawie pełnym już mroku tańcząca trąba powietrza.

Przygnał jeszcze mocniej do szyi ptaka. Głowę wcisnął w pióra.

Trąba rosła. Piasek uderzył w oczy.

Konie, drzewa, wielbłądy, chmura szarańczy!

Piasek zazgrzytał w zębach. Dławił w gardle.

„Pocałuj piękną Ninmu”.

Śmiały się demony zdzierając z Etany odzież.

„Pocałuj piękną Ninmu”.

szczydły wciągając w ślup piachu.

Piękną małżonką otworzyła oczy. Przez otwory okienne umieszczone w suficie wpadało słońce. Przygarnęła do siebie nowo narodzone maleństwo.

— Etana tata. Etana lugul-am.

*) Z cyklu opowiadań sumeryjskich.

MAREK WAWRZKIEWICZ

PTAK, OGIEŃ I ŚMIERĆ

Jesteś ptak

Gdy czerń głucha spadnie
Wolasz coś w odległościach swoją ptasią mową
Ochryplym głosem krzyczysz o pożarach
Kwiatnych ogrodów i zbieleńskich sadów
Sni ci się ogień w nocy i płonące rzeki

Jesteś ptak

Kiedy noc wysoka
Połamie już nareszcie nasze dzienne kłatki
Krzyczysz do mnie
I jest tak daleko
Że nie odlecisz z brzegów najbliższych nam rzeczy

Jesteś ptak

Masz serce większe od swych skrzydeł
Więc boleśniej jest skrzydła rozwinąć niż umrzeć.
Nadbiega piorun
giniesz w nim skłębiona

Zostaje zapach spalonego pierza

Jesteś ptak

W złotym ognia środka
Zbierasz mnie pazurami
Masz krew moją w dziobie
Odchodzisz w sen prawdziwy
W sen którego jeszcze
Nikommu nigdy nikt nie opowiedział

luty, 1968 r.



Człowieka wizerunek otwarty

Z Wandą Karczewską rozmawia Konrad Frejdllich



K. FREJDLICH: Czytając prozę Pani odnosiłem nieustannie wrażenie, że drażni Pani problem odpowiedzialności moralnej człowieka. Nawet debiutancka powieść „Ludzie spod żagli” wydana w r. 1937 zapowiada dość wyraźnie drogę Pani dalszych zainteresowań pisarskich. Czy późniejsze lata wojny zlagodziły nieco surowe wymagania, jakie stawia Pani bohaterowi „Ludzi”? Bo przecież zdaniem Pani, jak to wynika z powieści, człowiek jest winien zbrodni, nawet jeżeli sam nie zabija, a pragnie tego lub na to przyzwala.

WANDA KARCZEWSKA: Nie lepiej nie określa człowieka jak postawa wobec świata. Krystalizowanie się tych postaw jest chyba najciekawszą przygodą, jaką pisarz może opowiedzieć czytelnikowi. Otóż wojna utrwaliła i pogłębiła moje zainteresowania problematyką odpowiedzialności człowieka i jego postaw. Uprzymiła mi ona, że tym, co najbardziej szepiecia nas ze światem, jest najczęściej cierpienie. Ślad pojawienia się w mojej prozie motywów śmierci, cierpienia, ucieczki i poszukiwania dróg uwolnienia się od cierpienia. Z cierpieniem można uporać się na różne sposoby: przez zgodę na nie, jeżeli zgoda ta ocala naszą godność, przez ucieczkę mentalną w utratę świadomości, jeżeli cierpienia są ponad miarę ludzkiej wytrzymałości. Są to dwie skrajne możliwości, pomiędzy nimi cały czysty ciąg dróg i sposobów.

Wojna zaczęła się kiedy byłam zaangażowana w pracy nad drugą powieścią. Kończyłam ją z trudem. Zrozumieć pan to lepiej, gdy wyjaśnię, że przez cały czas okupacji musiałam ukrywać się przed Gestapo z powodu artykułów o polskości Gdańska, które wydrukowałam w r. 1938, narażając się już wtedy hitlerowcom. Zostałam umieszczona na liście wrogów III Rzeszy i bezustannie tropiona. W Oświęcimiu straciłam matkę i brata,

większa część rodziny uległa zagładzie na skutek działań wojennych, wywózki do Rzeszy, bądź zmarła z okupacyjnego wyniszczenia. Te sprawy zaciążyły na moim stosunku do świata, podobnie jak na wszystkich Polakach, którzy „czasy pogardy” przeżyli. Nie jest mi łatwo wracać pamięcią do nich. Nie od razu też znalazły swoje odbicie w książkach. W każdym razie proponuję w nich postawę czynną w stosunku do cierpienia. Nie opisywanie cierpienia i rozpacz samych w sobie jest rzeczą literatury, ale próba walki, uporania się z nimi.

K. FREJDLICH: Po wojnie debiutowała Pani jako poetka. Było to poszukiwanie nowych form wypowiedzi, czy też próba znalezienia dystansu do nie dawnych doświadczeń okupacyjnych?

WANDA KARCZEWSKA: Dla ścisłości: pierwszymi moimi próbami pisarskimi były wiersze, potem przyszła proza. Powrót do wierszy nastąpił po wspomnianych dwóch tomach prozy. Książkowo, jeśli chodzi o wiersze, debiutowałam w roku 1948 „Notatnikiem lirycznym”, później wydałam pięć następnych zbiorów poezji. Tych wierszy wojennych, okupacyjnych znalazł się sporo w pierwszych tomikach. Doświadczenia poetyckie spełniły w moim życiu i pisarstwie podwójną funkcję. Poezja zawiera w sobie, zwłaszcza w tym gatunku jaki ja uprawiałam — liryczny refleksyjny — immanentną cechę, właśnie refleksję, która sprzyjając spoglądaniu na przeżycia osobiste z perspektywy spraw ogólnoludzkich, pozwala znaleźć dystans do cierpienia i klęsk własnych. I to właśnie poezja — mowa symboli, metafor, skrótów myślowych, pozwalająca na syntetyczne widzenie i ukazywanie świata — uformowała ga tunek uprawianej przeze mnie prozy, w niej zaś — spojrzenie na wojnę jako zło totalne. Wojna w mojej prozie stała się wielką przekładnią, za-

gęszaniem zła, w którym rozstrzygał się wiek obronił swoją godność nawet w ja się sprawy nie tylko życia i śmierci fizycznej, ale także śmierci psychiczno-moralnej. Oczywiście mówiąc o wpływie poezji na prozę — wylaczamy sprawę języka, potocznie — stylizacji, poezjowanie w prozie w zakresie języka jest zła maniera, proza ma inny, własny rytm. I chyba mi się ten właściwy dla prozy i własny język udało znaleźć. Zeby nie być gołosłowna powołam się na jednego z moich świetnych krytyków, Juliana Rogozińskiego, który z okazji „Wizerunku otwartego” m. in. właśnie te walory języka w swej recenzji w „Polityce” podkreślił. Uzyskany z czasem dystans do spraw wojny i powiększający się ładunek doświadczeń pozwolił mi wrócić w 1957 r. do prozy, którą uważam od tej pory za właściwą mi dziedzinę twórczości.

K. FREJDLICH: Nieprzypadkowo więc pierwszą Pani powojenną powieścią jest, nagrodzone zresztą na konkursie „Wydawnictwa Łódzkiego” „ODEJŚCIE”, gdzie nawiązuje Pani do doświadczeń „polskiego września”. Nie nazywam jej „książką o wrześniu”, gdyż jak mi się wydaje jej filozofia na wymowa dotyczy całej wojny jako aktu barbarzyńskiej przemocy.

WANDA KARCZEWSKA: W „Odejściu” spożytkowałam obrazy „września” jako uto dramat, który dotknął naród polski. Spośród wielu cennych dla mnie wypowiedzi, recenzji i not najbliższą mojemu rozumieniu „Odejścia”, najbardziej zresztą wnikliwą analizę tej książki dał w swoim eseu bliskiżniemu zmarły, świetnie zapowiadający się krytyk młodego pokolenia Ryszard Zengiel w listopadowym numerze 1959 r. „Twórczości”. Nazwał on „Odejście” „książką o tragedii i klęsce kultury humanistycznej, łacińskiej, o klęsce tradycyjnej moralności” pod ciśnieniem apokaliptycznej zbrodni jaką była ostatnia wojna. Wydarzenia „polskiego września” są egemplifikacją tej zbrodni. Nie zgadzam się tylko z końcowym wnioskiem Zengia, jakoby naczelnym wątkiem książki był temat patologiczny, temat obłędu. Dla mnie obłęd głównej postaci książki, Piotra, to po prostu jedna z form niszczenia mentalności, zniszczenia świadomości ludzkiej. Świadomości niosącej ładunek kultury humanistycznej, która reprezentuje w tej książce Piotra jako artysta. Miałam więc na myśli zagładę psychiczną, podobnie jak formą zniszczenia sił fizycznych była zadawana śmierć biologiczna.

K. FREJDLICH: Zdaje mi się, że Pani pisarski zamysł łatwiej jest zrozumieć po lekturze opowiadania „Dzbanek mleka” z tomu „Partia golfa”.

WANDA KARCZEWSKA: No, suma książek w ogóle sprzyja lepszemu rozumieniu pisarza. Jedną z głównych postaci tego utworu jest także artysta, Michaś. Rozpacz po zagładzie jego najbliższych popycha go ku śmierci. Przed tym, niemal samobójczym krokiem ocala go właśnie — muzyka. Wobec barbarzyńskiej przemocy można było zwątpić w wartość kultury, w wartość sztuki — ale to przecież ona, siła kultury humanistycznej, to co jest w nas z wartości duchowych, mentalnych pomaga oprzeć się przemocy fizycznej. Poprzez sztukę może czło-

K. FREJDLICH: A jakie doświadczenia wniosła Pani z Ameryki, kontynentu, którego przecież wojna nie dotknęła?

WANDA KARCZEWSKA: Doświadczenia i obserwacje wyniesione z półrocznego pobytu w „Nowym Świecie” zamknęłam w dużym opowiadaniu z tomu „Partia golfa” oraz w powieści „Weekend w Riverside”. W „Partii golfa” podjąłem poprzez analizę psychosocjologiczną próbę zracjonalizowania cierpienia człowieka wykorzenionego, polskiego emigranta, który też na swój sposób chce się uwalniać od goryczy losu człowieka wyrzuconego przez wojnę „poza burtę”, od doznawanych na obczyźnie upokorzeń, od rozdarcia wewnętrznego. Forma ucieczki od udręk psychicznych uwarunkowana jest formatem osobowości. W „Weekendzie” daje propozycję antyschematycznego widzenia Ameryki, a jest to propozycja szersza, antyschematycznego widzenia świata w ogóle, jak to słusznie zauważył Stanisław Zieliński na łamach „Kultury”. Toteż ludzi, zdarzenia, historię ukazuję poprzez wiedzę o tym, że każda rzeczywistość w naszych oczach jest rzeczywistością spychologizowaną. Te problemy — po znania są nadzredne w stosunku do planu psychologicznego powieści zresztą chyba najłatwiejszej z moich książek, o czym mówią jej nakłady.

K. FREJDLICH: Wieloosobowy punkt widzenia zaprezentowała Pani chyba najlepiej w powieści „Wizerunek otwarty”. Przyznam się szczerze, że jest to ta Pani książka, która zrobiła na mnie najsilniejsze wrażenie. Propozycja czynnej postawy wobec świata za znaleziona jest tam szczególnie wyraźnie.

WANDA KARCZEWSKA: Cieszy mnie to Pana wrażenie, jest to bowiem książka, do której jestem najbardziej przywiązana. „Wizerunek” wyrosł ze sprzeciwu wobec mody na powieść egzystencjalną naszych lat sześćdziesiątych. Określając ściślej: wobec młodej polskiej powieści „egzystencjalnej”. Jest więc polemiką z twórczością Pańskich rówieśników. Na ogół pokolenie to cechowało powierzchowne rozumienie filozofii egzystencjalnej. Najwyraźniej widać to na przykładzie upraszczania przez młodych kirkergardowskiej metafizyki. Egzystencjalny lęk i rozpacz istnienia sprowadzali do uczucia taniej frustracji nieudaczników wobec trudności i złożoności życia, co z kolei rodziło oskarżenie niemal całego świata: winnymi nieszczęśliwości i cierpienia bohaterów tych książek było społeczeństwo, starci, rodzice, szkoła — wszyscy i wszystko poza nimi samymi. Jeżeli nawet taki bohater dojrzał do rewizji spojrzenia na świat i na siebie i następował w nim jakiś przełom, to „wybór” egzystencjalny dokonywał się w jakichś uproszczonych mikrowymiarach. Stąd w „Wizerunku” warstwa ironii i drwiny. Autoszyderstwa Pawła Sikory jako postaci parodiowanej. Ale sama postawa ironiczna to tylko niezgoda na zanegowaną postawę.

K. FREJDLICH: Cóż więc Pani proponuje w miejsce tej zanegowanej, a na wet ośmieszzonej postawy?

WANDA KARCZEWSKA: Kilka prostych prawd, o których się zapomina, a które warto i trzeba przypomnieć. Moje propozycje dotyczą aktu samopoznania. Aby znaleźć swoje miejsce w określonej rzeczywistości, w danym wypadku w polskiej współczesnej rzeczywistości, trzeba się określić: trzeba dokonać obrachunku ze swoim życiem, sobą samym i odpowiedzieć sobie najpierw na pytanie: kim jestem w sensie osobowości, w sensie jednostki społecznej i wyznawanego światopoglądu.

K. FREJDLICH: To weale nie takie proste odpowiedzieć na te pytania.

WANDA KARCZEWSKA: Oczywiście, bo warunkiem samopoznania jest wszechstronny punkt widzenia, wynikający z wiedzy o wielości rzeczywistości i o subiektywności własnej oceny samego siebie. Człowiek na ogół jest mało skłonny do samokrytycyzmu, do oglądania siebie oczami innych. Trzeba więc dążyć do pomnożenia punktów widzenia na siebie samego, aby zbliżyć się — na ile to jest możliwe — do prawdy intersubiektywnej.

K. FREJDLICH: A kiedy akt samopoznania jest przeprowadzony?

WANDA KARCZEWSKA: O ile jesteśmy zdolni do tego aktu — wówczas właśnie następuje moment właściwego wyboru samego siebie. Można więc — wyciągając wnioski z samopoznania albo próbować zmienić albo zatwierdzić się takim, jakim się było. Zatwierdzić siebie, choćby postawa zgodna z najwyższymi nakazami moralno-społecznymi przynosiła cierpienie, jeżeli ta postawa wydaje się nam jedynie możliwa do przyjęcia. Jest to propozycja postawy heroicznej. Bo jeżeli przyjął egzystencjalizm to — proponuję — tylko w camusowskim, heroicznym wydaniu.

K. FREJDLICH: Jednak sprawę wizerunku człowieka pozostawiła Pani w powieści sprawą otwartą?

WANDA KARCZEWSKA: Bo samo zagadnienie wyboru implikuje pojęcie wolności i ze swej natury jest zagadnieniem otwartym. Wybór samego siebie to przecież wybór światopoglądu i postawy wobec świata. I jeśli nie upraszczam sprawy i nie mówię jaki światopogląd wybrać, jeśli nie proponuję konkretnego modelu, to dlatego, że nie uważam aby literatura miała dawać gotowe i konkretne recepty na szczęście ludzkie; ona musi budzić niepokój, stawiać pytania i kwestie zmuszające czytelnika do zamyślenia się nad samym sobą. Odpowiedzi musi sobie udzielić każdy samodzielnie. Poszczególne, wynikające stąd drogi życiowe i sposoby postępowania będą już tylko przykładowymi egzemplifikacjami dokonywanych wyborów. Ale, Panie Konradzie, w tej książce jest jednak odpowiedź, na postawione tam pytanie „jak żyć uczciwie nie cierpiąc zbyt wiele”, tylko że jest to odpowiedź otwarta, tak jak samo pytanie. Brzmi ona: żyć świadomie.



Dla mojej babci wszystko co najlepsze, mogło być tylko przed wojną. Oczywiście tą pierwszą światową. Ciotki są zgodne, że przed wojną, ale tą drugą. A ja po prostu nie pamiętam. Pewnie dlatego, że nie pamiętam czasów przedwojennych, chętnie o nich czytam, myślę, zastanawiam się. Wolny od własnych wspomnień i przeżyć, zdaje mi się, że jestem mniej podatny na zarówno ich hurraoptymistyczną ocenę, jak i na obsmarowanie na czarno. W życiu wszak spotykamy się z takimi postawami często. Ale świat bywa czarno-biały tylko pod piórem marnego propagandzisty. Jest zwykłe bardziej złożony. I pewnie, ta nasza przedwojenna Polska nie była znów ani tak

różowa, ani tak czarna, jak ją niekiedy malują. Inna to była Polska. W każdej setce obywateli państwa było 69 Polaków, blisko 14 Ukraińców, 8 Żydów, 3 Niemców. Byli też Białorusini, Litwini, Rosjanie i Czesi. Międzywojenne państwo miało 31 proc. mniejszości. Więcej miała Czechosłowacja (34 proc.) — bo ani ZSRR ani Belgii — państwu wielonarodowym tu nie liczę, bowiem stanowiły one równoprawne związki narodów lub grup językowych. Stan taki stwarzał nieznanie dziś nam z doświadczenia współczesnego, ważne problemy polityczne. Pierwszego września rozpoczął się rok szkolny. Na kresach rodzice prowadzili swoje dzieci do pierwszej klasy. Najchętniej do szkoły u-

kraińskiej. Ale tych było coraz mniej. Liczba szkół z ukraińskim językiem wykładowym stale się zmniejszała. W roku 1922/23 było ponad 2800 szkół powszechnych z ukraińskim językiem wykładowym, w roku zaś 1937/38 tylko ok. 400. Wprowadzony przez ustawę szkolną z 1924 roku system nauczania w szkołach dwujęzycznych, w których nauczycielami byli przeważnie Polacy, nie zdawał egzaminu i jak stwierdza badacz tego zagadnienia — „wychowawcu młodzieży we wzajemnym poszanowaniu kultury polskiej i ukraińskiej nie sprzyjał”. Podobnie było ze szkolnictwem białoruskim, czy litewskim. Polityka „polonizacji na siłę” prowadziła tylko do powstawania coraz to nowych antagonizmów i nie mamy co się nią chwalić, nawet jeśli by się to komuś nie bardzo podobalo. Tym bardziej, że w stosunku do innych mniejszości polska polityka szkolna była nad wyraz liberalna. Zwalazca w stosunku do Niemców.

„Szkołnictwo niemieckie w Polsce — pisze Stanisław Mauersberg — choć oparte na różnych podstawach prawnych w różnych dzielnicach, zaspokajało w zasadzie potrzeby oświatowe ludności niemieckiej w stopniu na ogół wystarczającym”. Na terenie Górnego Śląska, gdzie wszak toczyła się walka o szkołę polską, aż 98 proc. uczniów narodowości niemieckiej uczeszczało do szkół z ojczystym językiem nauczania. Podobnie było i w innych dzielnicach kraju, tam, gdzie mieszkało wielu Niemców. Jeżeli mimo to liczba szkół z niemieckim językiem wykładowym stale spadała, było to wynikiem nie jakichkolwiek represji — te rodziły się w głowach nacjonalistycznych działaczy niemieckich w Polsce — ale z jednej strony postępującej EMIGRACJI Niemców z Polski, z drugiej zaś szybkiej REPOLONIZACJI ludności na obszarach szczególnie intensywnie germanizowanych przez władze pruskie. Niemieckie szkolnictwo w Polsce było silnie i wielostronnie powiązane z Rzeszą Niemiecką. Utrzymywało bliskie kontakty z „Verband für das Deutschtum im Ausland”, otrzymywało odeń pomoc materialną, która niejednokrotnie wiązała się z in filtracją polityczną. Zawodowa organizacja nauczycieli

niemieckich „Landsverband Deutscher Lehrer und Lehrerinnen in Polen” z centralą w Bydgoszczy nie ukrywała swoich prohitlerowskich sym patii. „Cechą charakterystyczną wielu szkół niemieckich w Polsce — powiada badacz zagadnienia — szczególnie w okresie narastania hitleryzmu w Niemczech, było zdecydowanie ANTYPOLSKIE nastawienie wychowawcze”. Niemieckie organizacje dostarczały do szkół nie dopuszczane przez władze szkolne niemieckie podręczniki i książki o tendencjach jawnie hitlerowskich. Działający na terenach województw poznańskiego i pomorskiego „Deutsche Vereinigung” dbał o rozbudowanie systemu tzw. nauczycieli wędrownych. Mimo alarmujących informacji nie ukończono tej akcji, choć było powszechną tajemnicą, że nauczanie domowe przerażało się w akcję wywiadów czoł, a nauczyciele wędrowni — w jej organizatorów.

Owa dwoistość polityki szkolnej zastanawia. Tam na wschodzie polityka zmierzająca do pogłębienia konfliktów między bratnimi narodami, tu w stosunku do Niemców daleko, zbyt daleko posunięty liberalizm. Gdy w stosunku do innych nie wywiązywano się z zobowiązań traktatowych, to „wobec ludności niemieckiej władze państwowe wykroczyły poza zobowiązania międzynarodowe, organizując publiczne szkolnictwo niemieckie również na terenach, które nie pozostawały w przeszłości pod zaborem niemieckim. Na terytoriach tych — stosownie do postanowień traktatu mniejszościowego — Polska nie była zobowiązana do tworzenia szkół niemieckich”. Jeżeli liczone, że taka polityka wpłynie na podobny stosunek władz Rzeszy do Polaków zamieszkających w Niemczech, to rachuby te okazały się mylne. Gdy w Polsce dzieci niemieckie, aż w 70 proc. uczyły się w szkołach, albo klasach z niemieckim językiem wykładowym, to w Rzeszy jedynie 0,5 do 2 proc. polskiej młodzieży mogło się uczyć w szkołach z językiem polskim. Zestawienie aż zbyt wymowne.

JAN GRZELAK



„Umieram z miłości, miłości bez końca, bez nazwy, szalonej, rozpaczliwej, zatraconej. Kocham Cię, uwielbiam, ubóstwiam aż do ostatniego tchu. Nie, nie wyleczę się; umrzeć kochając Cię, to więcej warte niż życie”. — pisał Musset w jednym z listów do kobiety, która swym istnieniem wypełniła niemal całe życie pisarza. Tą kobietą była Aurora Dudevent, znana pod pseudonimem literackim George Sand. Jej to właśnie zawdzięczamy najpiękniejsze mussetowskie „Komedie i przysłowia”. Rzecz można,

że cała twórczość Musseta powstała dzięki kobiecie i dla kobiety. Historia Musseta — dramaturga, jest równie niezwykła jak jego życie. Po nieudanej próbie scenicznej debiutu (1830) dwudziestoletni autor zrażony niepowodzeniem, postanowił zrezygnować z pisania dla teatru. Dlatego swe następne komedie tworzył jedynie z myślą o czytelniku, nie licząc się zupełnie z prawami sceny. Drukował je w „Revue des Deux Mondes”. Współcześni mu uważali, że pisze on „coś w rodzaju komedii niepodobnych do niczego, nie przeznaczonych dla sceny, rozgrywających się jakby w sferze kapryśnego marzenia”.

Nie wiadomo jak długo utrzymałaby się ta opinia, gdyby nie pewna francuska aktorka, która zainteresowała się oglądając w jednym z rosyjskich teatrów jednoaktówką i poprosiła o przetłumaczenie jej na język francuski. Sztuka, która tak bardzo przypadła aktorze do gustu okazała się „Kaprys” Musseta. Jest to rzecz o miłości, żalach, poświęceniu, zwodniczej grze uczuć, a wszystko widziane przez pryzmat wyobraźni i przeżyć autora. Bo „kaprys — to bóstwo przyświecające jego twórczości, zdaje się rozporządzać nawet kolejami jego sławy i obiera sobie za narzędzie utwor pod tym właśnie symbolicznym tytułem”.

Na sztukę tę zwrócił uwagę zespół Teatru Nowego i dzięki niemu Łódzcy teatromani mogą zoba-

czyć dawno już nie wystawiany na naszych scenach utwór francuskiego dramaturga. Inną sztuką Musseta, graną na Małej Sali jest jednoaktówka pt. „Drzwi muszą być albo otwarte albo zamknięte”. Jej treść kojarzy się z przeżyciami samego autora, wiadomo bowiem, że między Mussetem a jego ukochaną bardzo często dochodziło do gwałtownych scen, szczególnie w czasie ich pobytu w Wenecji, gdy mieszkali obok siebie ale drzwi łączące ich pokoje były przez cały czas zamknięte, a właściwie to nie były „ani otwarte ani zamknięte”.

Podobnie jest w omawianej komedii — ciągłe próby ucieczki i pełne nadziei powroty. Miłosny dialog partnerów zawiera uczucie tajonej miłości, radosnego uniesienia i udawanej nienawiści. Można w nim znaleźć przepis na miłosną grę: zwodzenie i obietnice, niepokój i nadzieje, smutek i radość... Mimo, iż Musset nie pisał swych komedii dla sceny, to przecież okazał się doskonałym znawcą duszy ludzkiej a w budowaniu dialogów był także mistrzem nie lada.

Reżyser spektaklu — Tadeusz Byrski i scenograf Henri Poulain, odczuli czar mussetowskiej melodii miłości. Przestrzeń sceniczna jest spowita jakąś delikatną mgiełką. Dekoracje, sprzęty i rekwizyty zdają się być powleczone patyną czasu. Postacie kobiet przypominają żywe portrety tajemniczych i kapryśnych, romantycznych piękności.

Najbliższą owych mussetowskich „boginek” wydaje się Pani de Lery w wykonaniu Róży Czaplewskiej. Przy całej swej posagowej piękności, pozornym chłodzie i ironii, jest istotą pełną życia, temperamentu, zadziwiająco dowcipem i umiejętnym stosowaniem słów. Czaruje ko biecnością i wdziękiem. Gdyby jeszcze Pani de Lery była bardziej swobodna i bezpośrednia w scenie ze swą przyjaciółką Matyldą, uznać by można, że jest w swej roli doskonała.

Wanda Chwiałkowska jako Matylda, żona Pana de Chavigny, to wymarzony typ przysłowiowej „domowej kurki”. Cicha, spokojna, naiwna, bez pretensji do wyszukanych ubiorów i fryzur stanowiła żywy kontrast z elegancką, wytworną i uwodzicielską Panią de Lery. Szkoda jednak, że W. Chwiałkowska „specjalizuje się” w rolach „pierwszych naiwnych”, bo takie ograniczenie z pewnością nie wyjdzie aktorze na dobre.

Prawdziwie kłobocza w przejściach od miłosnych obietnic do wybuchów udanego gniewu była w roli markizy Hanna Bedryńska. Dialog z partnerem prowadziła z niewymuszoną lekkością i ożywiała scenę czarem mussetowskich postaci.

Zarówno Zbigniew Józefowicz jako Pan de Chavigny, jak też Bogusław Mach w roli hrabiego, byli nabytzy sztywni i mało przekonujący. Zabrakło w ich zachowaniu i wyrażaniu uczuć — żaru, werwy, temperamentu i umiejętności wcielania się w kreowane postacie; słowem — tego wszystkiego co udało się osiągnąć ich partnerkom. A przecież Musset kreśląc wspaniałe portrety kobiet nie zapomniał także o płci męskiej. Sam stawał naprzeciw swych „Galatei” i sam wiodł z nimi rozmowę

pełną lekkością, zabawnych przysłów, powiedzonek i dowcipów.

Zarówno „Kaprys” jak i „Drzwi muszą być albo otwarte albo zamknięte” oparte są przede wszystkim na dialogu i stanowią rodzaj teatru lirycznego. I tu niestety, wykonawcy nie zawsze radzili sobie z prowadzeniem dialogów i utrzymaniem uwagi widza.

Omawiane jednoaktówki przetłumaczył Jerzy Lisowski. O ile przekład ten można uznać za dość interesujący, to jednak wśród starannie dobranej słów i misternych dialogów pojawia się, padające z ust hrabiego stwierdzenie: „Pani jest zblazowana markizo”. Chodzi mi o słowo „zblazowana”. Co prawda nie sprawdzałam jego zgodności z oryginałem, ale wydaje mi się, że w dzisiejszym znaczeniu słowo to

użyte w zwrocie do kobiety jest co najmniej dużym nietaktem, a tym bardziej mało prawdopodobne aby mógł go użyć romantyczny wielbiel w rozmowie z wybranką swe go serca. Niby nic, a powoduje przy kry dla ucha dysonans.

Oglądanym w Teatrze Nowym sztukom Musseta, podobnie jak innym jego scenicznym utworom, można by nadać wspólny tytuł: GRA MIŁOŚCI. Bo też od początku do końca przedstawienia każda postać, każde słowo i sytuacja są nierozdzielnie z miłością związane.

„Kaprys”, „Drzwi muszą być albo otwarte albo zamknięte” — Alfred de Musset. Przekład: Jerzy Lisowski. Reżyseria: Tadeusz Byrski. Scenografia: Henri Poulain.



Róża Czaplewska i Zb. Józefowicz w „Kaprysie”.

Zewsząd o wszystkim

Ponury obraz lecznictwa w NRF

„DEUTSCHE VOLKSZEITUNG” — DUESSELDORF

Bremański Komitet przygotowujący wybory do Bundestagu opublikował dane o aktualnej sytuacji służby zdrowia w NRF. Wynika z nich, iż 2/3 zachodniemieckich szpitali znajduje się w stanie skrajnego zaniedbania, cierpiąc na chroniczny brak medykamentów i sprzętu. Władze nie podejmują żadnych kroków zaradczych.

Perspektywy szpitalnictwa w NRF są doprawdy ponure, grozi mu bliski kryzys rozmiarów równy chyba tylko niedawnemu kryzysowi węglowemu. W konsekwencji może to doprowadzić do masowego zamykania państwowych szpitali i klinik.

Już w roku 1966 w NRF

odczuwano brak 30 tysięcy łóżek szpitalnych, 20 tysięcy sióstr i pielęgniarek, 30 tysięcy lekarzy-asystentów. Na modernizację szpitali i klinik brakowało wówczas trzy miliardy marek. Obliczono, iż na potrzeby związane z ochroną zdrowia mieszkańców Republiki Federalnej trzeba wyasygnować 25 miliardów marek.

NRF znajduje się dziś na pierwszym miejscu w świecie pod względem śmiertelności położnic. Ludzie, cierpiący na schorzenia serca i wymagający interwencji chirurgicznej, mogą liczyć na operację nie wcześniej, niż za rok lub dwa lata. Odpowiedzialność za tak złą sytuację w lecznictwie spada całkowicie na rząd „wielkiej koalicji”.

„Wyścig zbrojeń i bomba atomowa — oto co ma priorytet w naszym kraju, oto, do czego dążą nasi ministrowie, zamiast troszczyć się o zdrowie swoich współobywateli” — głosi oficjalny protest zachodniemieckie-

go towarzystwa lekarskiego. „Wszystkim krajom federalnym należy przyznać niezbędne dla nich środki na rozwój służby zdrowia, kosztem zredukowania wydatków na zbrojenia”.

Dyplomacja i pieniądze

„NOUVEL OBSERVATEUR” — PARYŻ

„Od kiedy Wielka Brytania stała się drugorzędym mocarstwem, jej zagraniczne przedstawicielstwa muszą liczyć się z tym nowym faktem”.

Do takiego wniosku doszła, po roku badań, specjalna komisja na czele z prezydentem kompanii „Rio Tinto”, sir W. Dankenem, która niedawno opublikowała swoją „Białą księgę”. Traktuje ona o kierunkach przebudowy konsularnej i dyplomatycznej służby Wielkiej Brytanii oraz o sposobach zredukowania o 5—10 procent jej budżetu, który wynosi obecnie 105 milionów funtów szterlingów,

Komisja proponuje zmniejszyć wydatki drogą reorganizacji samej struktury brytyjskiego min. spraw zagranicznych i stworzenia dwóch oddzielnych tzw. grup służby dyplomatycznej. W pierwszej grupie, zwanej strefą koncentracji (Europa, Ameryka Północna, Australia i Japonia), przedstawicielstwa Wielkiej Brytanii powinny być pełnowartościowymi misjami”. W drugiej grupie, zwanej „strefą zewnętrzną” (kraje trzeciego świata), Anglia, zdaniem komisji, powinna mieć tylko niewielkie przedstawicielstwa, składające się z trzech, czterech ludzi,

którzy winni zajmować się przede wszystkim sprawami obrony ekonomicznych i handlowych interesów swego kraju.

Zdaniem W. Dankena i jego współpracowników, brytyjski dyplomata powinien być przede wszystkim agentem handlowym, specjalistą w dziedzinie gospodarki „znakomicie znającym wszystkie słabości brytyjskiej ekonomiki, żeby móc skutecznie bronić jej interesów”. Odtąd nie stoi na przeszkodzie, aby dyplomatyczny przedstawiciel „nowego stylu” wywodził się z kręgu ludzi niekoniecznie

wysoko urodzonych, lecz rzutkich, praktycznych. Idealny, brytyjski dyplomata powinien być mniej skrepowany tradycjami i bardziej skromny. Na początek dobrze by było, uważa komisja, aby zmienił swojego „Rolls-Roysa” na samochód mniej szych rozmiarów.

Czy Anglii zgodzą się na te radykalne propozycje? Minister Spraw Zagranicznych Wielkiej Brytanii, oświadczył, że poczeka na reakcję opinii publicznej i dopiero wówczas podejmie ostateczną decyzję w sprawie memoriału komisji.

„Cicha” penetracja

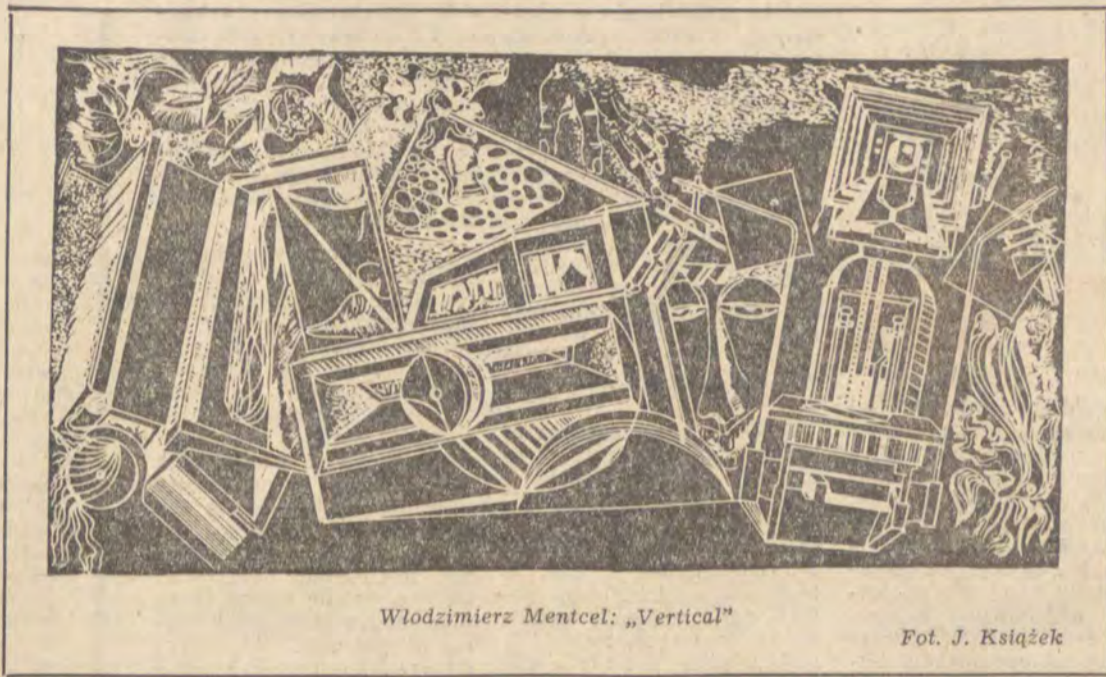
„AL AHRAM” — KAIR

„Dążąc do rozszerzenia wpływów na Bliskim Wschodzie, Izrael podejmuje jednocześnie kroki, aby wyjść poza obszar tego rejonu i przeniknąć na kontynenty — azjatycki i afrykański. Izrael ma przy tym zamiar przenieść swoją polityczną i ekonomiczną blokadę, którą stworzyli

wokół niego kraje arabskie, jak również znaleźć niezbędne dlań surowce. Dąży on również do zdobycia nowych rynków zbytu dla swojej produkcji spożywczej i przemysłowej.

Pierwszym krokiem na drodze izraelskiej infiltracji w Azji była Azjatycka Kon-

Sztuka znaku graficznego



Włodzimierz Mentzel: „Vertical”

Fot. J. Książek

Miasto. Duże miasto. Ponad 700 tysięcy mieszkańców i tylko dwie galerie sztuki. Dziwne miasto. Proporcja niewiarygodna. Około 500 artystów czeka cierpliwie w ogromnym ogonku na możliwość pokazania swego dorobku we wspomnianych dwu galeriach BWA. Jakże mają szansę?

Artysta pracuje i czeka. Artysta ma prawo i obowiązek rozwijać się twórczo. W jałowym wyczekiwaniu stopy prac tracą po pewnym czasie walor wypowiedzi najaktualniejszej. Tych publiczność być może już nigdy nie ujrzy. Strata nie wzięta. Społeczeństwo wrażliwe, głęboko zainteresowane pracą swych artystów to rzecz piękna i pożądana. W epoce przerosłych konsumpcyjnych tylko taka społeczność godna jest miana naprawdę cywilizowanego. Trudno powiedzieć abyśmy byli nazbyt rozpieszczeni dobrami konsumpcyjnymi. Jesteśmy jak to się mówi na dorobku. Na razie nie grożą nam totalne alienacje i choroba przesytu. Formując jednak bazę nie tracąc z oczu nadbudowy, gdyż z zasady są one elementami nierozdzielnymi. Aby tworzyć kulturę stwarzamy również właściwy system jej rozpowszechniania. Często zjawisko obojętności społeczeństwa na sztuki plastyczne jest oczywistym wynikiem niedoinformowania. A jakie są możliwości informacji poza środkami masowego przekazu (często ujmującymi zjawiska sztuki w sposób na der powierzchowny) jeśli nie stała obecność w żywym i skomplikowanym organizmie wielkiego miasta.

* * *

Wyłączając działalność Muzeum Sztuki, rzadko w Łodzi oglądaliśmy wystawy naprawdę ważne i kulturotwórcze. Ostatnio coraz częściej (ciągle w dwóch galeriach) urządzamy pokazy o znaczeniu ogólnopolskim, przełamując tym samym niepisany monopol Warszawy czy Krakowa. Wymieńmy chociażby Ogólnopolską Wystawę Tkaniny, życia nowoczesnych społeczeństw.

Ogólnopolski Konkurs na Grafikę Technick Szlachetnych — zorganizowany przez Łódzki Okręg ZPAP czy też wreszcie aktualnie eksponowaną w Instytucie Propagandy Sztuki w Parku Sienkiewicza pierwszą Ogólnopolską Wystawę Znaków Graficznych.

Jest to wystawa piękna i trudna zarazem. 335 prac 99 autorów z całej Polski przedstawia starannie dobrany przegląd powojennej produkcji artystycznej w tym zakresie. Z satysfakcją stwierdzam na wystawie obecność prac kilkunastu łódzkich grafików, prezentujących poziom wysoki, a często znakomity. M. in. jest to dowód, że jako ośrodek artystyczny jesteśmy żywotni na artystycznej mapie Polski i stajemy się niebagatelną pozycją. Sztuka znaku graficznego jest trudna w dwupłaszczyznowym rozumieniu. Z jednej strony jako uprawiana przez artystę dyscyplina, z drugiej zaś jako obiekt odbioru wizualnego. Pozorna jest łatwość percepcji i osądu znaków stanowiących marki fabryczne, godła, znaki towarowe i firmowe, emblematy, monogramy i sygnety literne.

Semantyczne pojęcie znaków mówi o zachodzeniu okoliczności dawanania znaku, czyli informowania kogoś o czymś w sposób skrótowy i możliwie najjaśniejszy. Dobry znak winien błyskawicznie trafić do oka i równie szybko utrwaląć się w pamięci. Dobry znak graficzny zawiera nie tylko jasną i natychmiastową informację, ale również winien zgodnie ze swym przyśłowiem „graficzny” prezentować nienaganny kształt. Jest sztuką trudną powiedzieć coś krótko i pięknie. Wielostawie kamufluje niedostatki. Znak często „jest czytany” jedynie w swej warstwie znaczeniowej w oderwaniu od formy plastycznej, która jest niemniej istotna gdyż niebanalny i trafny kształt graficzny pozwala na szybsze i łatwiejsze przyswojenie wyrokowe. Znak jako refleks pośpiechu, fakt do zapamiętania, krótkie komunikatywne słowno, jest wykładnikiem i koniecznym elementem szybkiego tempa

W obrębie informacji audiowizualnej pełni niebagatelną rolę wykrzyknika o sensie bezspornym i natychmiast przekazywalnym.

Nieliczni widzowie poruszają się po galerii niepewnie i podejrzliwie. Prawdopodobnie znają większość prac oglądanych na co dzień w formie znacznie skromniejszej jako nalepki, metki i nadruki. Znak wyeksponowany w galerii i niejako nobilitowany tym faktem odsiania absolutnie nowe wartości. Wartości par excellence artystyczne. To chwilowe oderwanie od funkcji czysto służebnej, prawem paradoksu, pozwala ocenić jego wartość użytkową. Daje możliwość wnikięcia w intencje autora, w jego umiejętności logicznego i lapidarnego myślenia. Swoboda i różnorodność interpretacji plastycznej jest tu ujęta w żelazną dyscyplinę adekwatności formy do treści i na odwrót. Znak graficzny nie uzyskał jeszcze pełnej konsekracji na dzieło sztuki w odczuciu społeczeństwa jak to ma miejsce w wypadku plakatu, mimo że obie dyscypliny rządzą się podobnymi prawami i pochodzą z jednej rodziny. Służą do identyfikacji wizualnej produktu, fabryki czy też filmu, imprezy sportowej itp. Polska, kraj ścisłej czołówki w dziedzinie plakatu stworzyła muzeum w Wilanowie, tym samym jak-

by oficjalnie i ostatecznie uznając plakat za dzieło sztuki. Zaszczyc ten nie spotkał do chwili obecnej znaków graficznych. I stąd też chyba w świadomości widza znak graficzny plasuje się w regionach nie objętych mianem sztuki. A szkoda. Długiego i mozolnego procesu szukania najwłaściwszej formy graficznej, poprzedzanego dziesiątkami szkiców koncepcyjnych i licznymi przeprojektowaniami nie osładza częste zjawisko ignorancji zleceniodawców, prezentujących nie rzadko rodzaj dyletantyzmu apodyktycznego, przy jednoczesnym niezrozumieniu zasady naprawdę dobrego i nowoczesnego znaku. Stąd też artyści poza pracą tworzącą pełnią również funkcję misjonarzy walczących z tysiącem ultrasubiektywnych i zachowawczych przekonań. Nie należą do rzadkości zleceniodawcy żądający komiksowych fabulek i dziewięć nastawionej narracyjności.

Pozwolę sobie jednak zauważyć, że nie najlepiej prezentują zakład np. produkujący maszyny rolnicze, kłosa, tryby a może i kompletna scena siejby.

Konkludując polecam obejrzenie wystawy tym wszystkim, którzy dziś lub jutro z ramienia swej instytucji będą opiniować projekty proponowane przez artystę-grafika.

W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW”

- ◆ JAN KOPROWSKI — List pierwszy z Australii
- ◆ JERZY URBANKIEWICZ — Najpierw energetyka
- ◆ TERESA WOJCIECHOWSKA — Muzyka na eksport

oraz

Sztuka ludowa Ziemi Łódzkiej, Człowiek mechaniczny, felietony, nowela kryminalna.

POLONICA

WYWIAD
Z J. PUTRAMENTEM

„Literaturna Gazeta” w numerze z 17 września zamieściła rozmowę z przebywającym aktualnie w Moskwie wiceprezesa ZLP, znanym pisarzem Jerzym Putramentem, autorem głośnej książki pt. „Wrzesień”. Nieprzypadkowo więc rozmowa ta, spisana przez A. Zygarięwa, dotyczyła wspomnień Putramenta z pierwszych dni napaści hitlerowskiej na Polskę. Przekazując radzieckim czytelnikom informacje na temat bohaterskich walk żołnierzy polskich z przeważającymi siłami wroga oraz politycznych przyczyn klęski wrześniowej, Putrament opowiedział też o swojej pracy nad powieścią, którą rozpoczął w Szwajcarii w roku 1946, ukończył zaś w Warszawie w roku 1951. Na temat osobistych losów we wrześniu 1939 roku pisarz oświadczył: „Wyszedłem na ulicę, wsiadłem do autobusu — w pamięć wbiła mi się cisza na ulicach Wilna: ludzie milczeli, wszyscy czekali, co będzie dalej”. 16 września jednym z ostatnich pociągów wyjechałem do Łidy, skąd piechotą dostałem się do domu moich krewnych, żeby odpocząć trochę i iść dalej w stronę granicy radzieckiej. Nie chciałem być nawet jednego dnia w Polsce okupowanej przez faszystów. Pamiętam jak matka obudziła mnie: „Wstawaj, synku, Czerwona Armia do nas idzie”. Jak widziacie, moje osobiste uczestnictwo w kampanii wrześniowej jest nieznaczące, ale ta wojna na zawsze pozostanie w moim życiu i w mojej twórczości powracającym etapem”.

K.F.

POLONICA

ferencja Socjalistyczna, która odbyła się w Rangunie w 1953 roku. Izrael wziął w niej udział, maskując się kłamliwymi hasłami socjalistycznymi, przy pomocy których udało mu się wprowadzić w błąd szereg krajów azjatyckich. Zaraz po zakończeniu konferencji, Izrael ożywił swoje stosunki z Nepalem, Syjamaem, Filipinami, Laosem, Japonią, Hongkongiem i Singapurem.

Ureczywistniając swoje plany penetracji kontynentu azjatyckiego, Izrael opierał się po pierwsze — na zagadnieniach natury ekonomicznej, wykorzystując okazje, iż niektóre kraje Azji odczuwały braki w dziedzinie techniki i technologii, którym mogli zaradzić Izraelscy eksperci. I po drugie — korzystając z faktu, iż w szeregu krajów Azji gospodarowały siły imperialistyczne, na których prądzie płynął również i on sam.

W ostatnich latach niektóre kraje azjatyckie zrozumiały, jakie niebezpieczeństwo kryje w sobie izraelska penetracja tego kontynentu.

W ich stosunkach wobec Izraela zaczęły się pojawiać oznaki zmiany, co znalazło szczególny wyraz w czasie rozpatrywania bliskowschodniego kryzysu na sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych. Wszystkie kraje Azji głosowały za projektem rezolucji, przedłożonym przez Pakistan, w którym potępiano Izrael za aneksję Jerozolimy.

Stało się jasne, iż państwa kapitalistyczne, dążące do utrzymania i utrwalenia swych wpływów, użyły Izraela w charakterze swojego rzeźnika na obszarach azjatyckim i afrykańskim. Szczególnie jaskrawo widać to w Afryce.

Izrael dokonał szczegółowej analizy potrzeb tego kontynentu, przede wszystkim w zakresie gospodarki, budownictwa, leśnictwa i obrony i pod tym kątem zaczął zwiększać swój eksport do krajów afrykańskich. Ogromna część izraelskiej pomocy dla krajów Afryki szła na rachunek zagranicznych inwestycji i pomocy zagranicznej dla zacofanych

krajów Afryki, co przynosiło Izraelowi kolosalne zyski.

W celu rozwinięcia handlowych i ekonomicznych stosunków z Afryką Izrael stworzył specjalne kompanie, które przygotowały licznych specjalistów z różnych dziedzin.

W ślad za tym zaczęła się izraelska infiltracja do ruchów robotniczych krajów afrykańskich i azjatyckich. Prowadzono ją za pośrednictwem kompanii, tworzonych przez zjednoczony związek zawodowy robotników Izraela „Histadrut”. Współzależnym z amerykańskim związkiem pracy, Izrael — mając na celu przeszkolenie i przygotowanie kierowniczych kadr robotniczych w krajach Azji i Afryki — otworzył w Tel-Awivie instytut afroazjatycki.

Wielką rolę w urczywianiu planów syjonistycznej penetracji na kontynencie afrykańskim odgrywały gminy żydowskie. Mimo, iż na kontynencie afrykańskim jest ich znacznie mniej, niż na jakimkolwiek innym, to jednak ich człon-

kowie zajmują kluczowe stanowiska w ekonomice.

W taki oto sposób rolę agenta krajów imperialistycznych odgrywa Izrael nie tylko na Bliskim Wschodzie,

lecz również w Afryce i Azji, gdzie bierze aktywny udział w urczywianiu neokolonialistycznej polityki krajów kapitalistycznych.

Legendarny el-AKSA

„TIMES” — LONDYN

Wiadomość o pożarze w słynnym meczecie el-Aksa, znajdującym się w okupowanej przez Izrael Jerozolimie, wywołała ogromne wzburzenie w całym świecie muzułmańskim. Sprofanowano jedną z najbardziej czczonych świątyń islamu.

Jak głosi legenda, w miejscu, w którym wznosi się meczet el-Aksa, zatrzymał się prorok i twórca islamu Mahomet, by odpocząć nieco, zmęczony nocną wędrówką, jaką odbywał z miasta Kaaba do Mekki. Prorok długo się tutaj modlił, nim rozpoczął wspinaczkę po „drabinie świata” do nieba, gdzie mu Allah powiedział, jakich obrządków powinni przestrzegać wyznawcy isla-

mu. Tej samej nocy powrócił Mahomet na ziemię, osiodłał konia i powrócił do Mekki.

W roku 635 kalif Omar podbił Jerozolimę i na pamiątkę w miejscu, w którym odpoczywał Mahomet, wznosił meczet el-Aksa. Była to niewielka budowla z drzewa i gliny, z której niewiele zostało już po upływie półwiecza. Wówczas kalif Abu Abd Malik polecił wybudować w tym samym miejscu wspaniałe meczet z kamienia.

Prawie sto lat później świątynia mocno ucierpiała wskutek trzęsienia ziemi. Przebudowywano ją potem dwukrotnie: w 771 roku za panowania kalifa al-Mansara i dziesięć lat później — za kalifa al-Mahdi. Arabscy podróżnicy i kronikarze owych czasów wspominają, iż była to budowla urzekająco piękna; miała piętnaście wejść i 280 kolumn podtrzymujących dach.

W r. 1099 Jerozolimę zdobyli krzyżowcy pod wodzą Godfryda z Bouillon. Po rozlokowaniu się w meczecie el-Aksa, jego zachodnie skrzydło przeznaczony na zbrojownię, a w sąsiedztwie urządzili stajnię. Świątynia uległa częściowej dewastacji.

W r. 1187 arabski wódz Saladin zdobył Jerozolimę i odbudował legendarny meczet.

● Zawszgd o wszystkim ●

na muzycznej scenie i estradzie

Nielatwo jest na scenie komediowo-operetkowej ucić rocznicę 25-lecia PRL. Teatr Muzyczny wybrał na otwarcie sezonu „Skrzydlaty kochanek” (musical rodzimej twórczości, napisany przez spółkę autorską, wypróbowaną już na scenie tego Teatru: Stanisława Renza (muzyka), Jana Majdrowicza (libretto) i Kazimierza Winklera (teksty piosenek). Ich pozycja „Dziękuję ci Ewo” w ubiegłym roku cieszyła się dużym powodzeniem. „Skrzydlaty kochanek” pomysłał jako pozycja, którą teatr miał właśnie ucić 25-lecie, nie gubiąc jednocześnie dobrej zabawy, której od tej sceny oczekujemy. Nie było to zadanie łatwe i zdaje się, że kierownictwo Operetki miało trępe przed premierą: czy aby się ktoś nie oburzy, nie poczucie dotknięty, że udział polskich lotników w bitwie o Londyn jest przedmiotem komedii utrzymanej w lekkim tonie. Obawy chyba zbędne. Pokazywanie sytuacji wojennych „na wesoło”, aczkolwiek nie jest naszym wynalazkiem, przyjęło się już u nas i można takie zabiegi podejmować pod warunkiem, że będą dokonane w sposób kulturalny, dowcipny, taktowny i ze smakiem. A te warunki łódzkie przedstawienie chyba spełnia.

Tak więc scena Teatru Muzycznego przeniosła nas tym razem na współczesne Okęcie (proszę, przy okazji całkiem niechcący i 40 rocznica LOT-u), a potem w lata czterdzieste, do Anglii, w centrum walk powietrznych o Londyn. Łatwo się więc domyślić, że skrzydlaty kochanek to polski lotnik, rzecz oczywista również dzielny w bitwie o w miłości, powodzenie wśród Angielek ma ogromne, nie więc dziwnego, że jego wdziękiem ulega i dziewczę z wyższych sfer. I choć brzdąca jej nieco jedna księżniczka, to i tak wszystko kończy się happy endem. Nie w fabule rzecz jednak, bo na takiej fabule można zbudować komedię nudną albo zabawną, istotny jest dowcip, wartość akcji, komediowe śpiewy.

„Skrzydlaty kochanek” jest komedią zrecznie zbudowaną, jest dowcipu sporo (podejrzewam, że i piosenki są zabawne, niestety, tekst ich słabo dochodzi do widowni). W pierwszym akcie mniej jest okazji do zabawy, akcja toczy się na lotnisku wojskowym, rekompensuje to jednak bardzo pomysłowa inscenizacja bitwy powietrznej. Drugi akt przynosi nas na lordowskie salony i tu warstwa komediowa może rozwijać się bez przeszkód, by w trzecim akcie, gdy do akcji wkracza podpora setek komedii, niezawodna szafa — osiągnąć punkt kulminacyjny.

Jak się wydaje, autorzy pozostawali raczej pod wpływem komediowych wzorów francuskich niż angielskich, a obraz Anglików przypomina trochę serię „jak sobie mały Kazio wyobraża” (lordów brytyjskich), ale możemy to autorom darować, albowiem nie jesteśmy bliżej zainteresowani autentycznością obyczajów lordowskich.

Jako, że komedia ta to musical, mamy sporo melodyjnych łatwych dla ucha piosenek, sporo baletu, mniej może ciekawego w scenach lotniczych, gdzie tancerze mają ruchy skrepowane mundurami. Przedstawienie jest starannie przygotowane od strony muzycznej, ma barwne, funkcjonalne dekoracje i kostiumy.

W głównych rolach wystąpili na premierze popularni artyści Teatru Muzycznego. Wdzięczną postać „lordówny” stworzyła Krystyna Nycz-Wronko jej „skrzydlatym kochankiem” był Zbigniew Waloch. W „drugiej parze”, bardziej krwistej, plebejskiej wystąpili: Lola Szczech (Pamela) i Janusz Duński (Kozak). Poza tym oglądaliśmy: Witolda Jawisa, Jadwigę Kende, Annę Gębicką, Krystynę Potemską-Przybylską, Sabinę Grochowską i innych.

Nielatwo jest usłyszeć Świątosiława Richtera. Ten genialny muzyk jeden z największych dziś pianistów

świata znajduje się w nieustannej podróży, przerzuca się z kraju do kraju, z kontynentu na kontynent, występował na największych estradach koncertowych świata. Łódź miała do tego pianisty szczególnego pecha. Kilkakrotnie zapowiadany, a następnie odwoływany, po piętnastoletniej przerwie, wystąpił w Łodzi niespodziewanie i prawie bez zapowiedzi. Mimo to sala Filharmonii wypełniona była po brzegi tymi, którym udało się w porę dowiedzieć o koncercie.

Richter koncertuje już 27 lat i chyba wszystko co można powiedzieć i napisać o jego niezwykłej, urzekającej grze, zostało już powiedziane i napisane. Można tylko powtarzać jeszcze, że to wielki artysta, który potrafi na fortepianie wyczerpać co zechce, najsłabsze piano i forte o sile gromu, że jest wirtuozem, dla którego nie ma trudności technicznych, jednocześnie jego wykonawstwo nie jest pozbawione cech romantycznych. Ma znakomite oponowane rzemiosło, a jednocześnie niezwykłą świeżość interpretacji. Jest pianistą o talencie wszechstronnym, a znakomita pamięć muzyczna pozwala mu na dysponowanie olbrzymim repertuarem.

Grął w Łodzi Schuberta, Schumanna i Prokofiewa. Słuchaliśmy, zdając sobie sprawę, że nieprędko będziemy mieli okazję usłyszeć go ponownie.

* * *

Świątosiław Richter pojawił się w Polsce zapewne dzięki „Warszawskiej Jesieni”, która ściąga do Polski coraz więcej muzycznych znakomitości. Również dzięki temu Festiwalowi bawił w Polsce francuski zespół baletowy Ballet-Theatre Contemporain z Amiens. Jest to pierwszy w Warszawie zespół

dek choreograficzny założony i finansowany przez tamtejsze Ministerstwo do Spraw Kultury. Zapewne oznacza to, że Francja, kraj o starych i bogatych tradycjach baletu klasycznego przywiązuje wagę do rozwoju jego nowych, współczesnych form wyrazu.

Przed paroma tygodniami mieliśmy okazję oglądania również nowoczesnego baletu amerykańskiego Alvena Nicolaisa, mimowolnie więc nasuwały się na myśl porównania. Balet francuski, tak jak i amerykański, ma ambicję łączenia tańca, a więc ruchu z plastyką, a więc kolorem i muzyką, a więc dźwiękiem — w jak najbardziej harmonijną, jednolitą całość. Jednak teatr ten jest przede wszystkim teatrem baletu, baletu tkwiącego mocno w regułach tańca klasycznego. Widowska pokazywane przez Francuzów są subtelniejsze, łagodniejsze w kształcie i barwie niż amerykańskie, muzyka współczesna i nowoczesna, ale nie tak natarczywa, scenografia spokojniejsza, z wielką dbałością zharmonizowana z tańcem. Niektóre pozycje pokazane przez gości sprawiły wrażenie kompozycji stworzonych przez artystę-plastyka. Niepokój właściwy ludziom naszych czasów, przekazywany przez artystów w dziełach sztuki nie jest obcy temu baletowi, ale nie przybiera tak drastycznych form jak w amerykańskim. Sztuka baletu francuskiego jest bardziej humanistyczna, bardziej ludzka. Jest to sztuka w swym kształcie artystycznym bardziej uformowana, bardziej świadomie dążąca do zamierzonych celów.

*) „Skrzydlaty Kochanek”. Kierownictwo muzyczne: Andrzej Bachleda; reżyseria i choreografia: Stanisława Stanisławska; dekoracje: Janusz Tartyło; kostiumy: Zuzanna Piątkowska

OBIEKTYW

NIEMCY

Pamiętam, jak jedno z czasopism — chyba „Nowa Kultura” — opublikowało „Niemców”, świeżo napisaną sztukę Leona Kruczkowskiego. Był rok 1949. Od tego czasu rozpoczęła się zawrotna kariera tego dramatu. Nie sposób wprost zliczyć ilości premier i przedstawień w kraju i za granicą.

Ostatnio telewizja sięgnęła po „Niemców” i zaprezentowała ich w nowej inscenizacji. Przypomnę, że po raz pierwszy przysposobił sztukę Kruczkowskiego na mały ekran Adam Hanuszkiewicz, przy czym rolę profesora Sonnenbrucha grał Jan Kreczmar, a Ruth — Zofia Rysiówna. Ta pierwsza inscenizacja telewizyjna „Niemców” podkreślała przerywnikami strukturę samej sztuki. Pierwszy akt składa się, jak wiemy z trzech scen, rozgrywających się w okupowanej Polsce, Francji i Norwegii. Autor ukazuje w tych scenach trójkę członków domu Sonnenbruchów.

Hanuszkiewicz utrzymał tę konstrukcję i ukazał widzowi jej wiązania. Między trzema wymienionymi scenami, w utworze rozdartej jakby otwartą raną mapy Europy, ukazywały się buty żołdaków hitlerowskich w marszu. Przerywnik ten łączył w sobie elementy formalnego ozdobnika z szerszą symboliką. Europa była przecież wówczas depłana przez kohorty Hitlera.

Kazimierz Dejmek w nowej, nadanej z Warszawy w dniu 29 września, inscenizacji „Niemców” znalazł inne rozwiązanie formalne, dla którego również poszukacie można głębszego uzasadnienia. Reżyser poszedł na zamazanie granic między sceną polską, francuską i norweską. Przejścia nie były akcentowane. Oglądaliśmy twarze Hoppego i Jurysia na scenie polskiej, a potem normalnym miksem zamieniła je na ekranie twarz francuskiego oberzysty.

W podobnie niemal niedostrzegalny sposób akcja przenosi się do Norwegii, a potem do Getyngi. W ten sposób wszystkie epizody „Niemców” zlewane są jakby do jednego tygla, mieszają się ze sobą, tworzą jednorodną materię.

To rozwiązanie formalne nadało nowej inscenizacji „Niemców” cechy gęstości i skrótowej lapidarności. Jednocześnie, operując często zbliżeniem i półzbliżeniem, nie wychodząc z zamkniętych pomieszczeń, realizatorzy uzyskali efekt sprowadzający cały konflikt sztuki do sfery ludzkiego intelektu. Wydarzenia fabularne stają się pretekstem dla szerokiej prezentacji postaw moralnych.

Oglądając spektakl telewizyjny „Niemców”, zastanawiałem się nad nieprzemijającymi walorami tej sztuki. Miejskami poprzez postaci i sytuacje prześwieca niemal nie osłonięta publicystyka, a przecież blask sztuki przez to nie przygasa. Szlachetny zamiar zgłębienia skomplikowanych problemów epoki nadaje dziełu Kruczkowskiego wymiar nieprzeciętny.

Najwięcej kontrowersji może budzić sposób wprowadzenia do domu Sonnenbruchów antyfaszysty i uciekiniera z obozu koncentracyjnego Josepha Petersa. Jest w tym niespodziewanym wejściu przez uchylone drzwi na taras coś z umowności. Sama postać Petersa ma więcej cech symbolu niż normalnych ludzkich właściwości. Jakżeż to przez to trudna do zagrania rola!

Złapałem się nawet na wątpliwość, czy słuszne było obsadzenie w tej roli Gustawa Holoubka. Ale wątpliwości moje trwały krótko. Reżyser i wykonawca nie poszli na dosłowność, na uprawdopodobnienie dość sztuczności z punktu widzenia prawdy życiowej epizodu Petersa. Ta postać zjawia się niespodziewanie i równie niespodziewanie znikła. Gdyby nie aresztowanie Ruth, powie potem profesor Sonnenbruch, można by sądzić, że Petersa wcale nie było.

Z tego wynika, że i autor nie zamierzał wprowadzać Petersa na scenę jako konkretnie zindywidualizowaną jednostkę ludzką. To jakaś inna odmiana tajemniczego Inspektora ze sztuki Pristleya, personifikacja wyrzutów sumienia, które mając wygodną postawę wycobowania się przyjętą przez profesora Sonnenbrucha wobec otaczających go zbrodni hitlerowskich.

Wydaje mi się, że ścisłona, nieco nierealna, albo lepiej: nadrealna interpretacja roli Petersa przez Holoubka zapewniła właściwą wymowę tej postaci.

A swoją drogą, jak wybitnym dziełem są „Niemcy” Kruczkowskiego, skoro każda nowa inscenizacja wniesie może nowe elementy do ich coraz pełniejszego odczytania!

WLADYSŁAW ORŁOWSKI

spektakle tygodnia

	spektakli	widzów	proc.
TEATR WIELKI			
„Kniaź Igor”	2	1260	100
„Tragedya albo rzecz o Janie i Herodzie”	1	1260	100
„Jeziorko łabędzie”	1	1260	100
„Le Ballet Theatre Contemporain”	2	2520	100
„Romeo i Julia”	1	1260	100
„Cyrulik sewilski”	1	1260	100
NOWY			
„Dziś do ciebie przyjdę nie mogę”	3	2100	100
NOWY			
Mała Sala			
„Mąż i żona”	1	200	100
„Księżyc świeci nieszczęśliwym”	1	150	75
„Kaprys”	2	400	100
OPERETKA			
„Skrzydlaty kochanek”	2	2200	100

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Spółkę autorską Ilfy i Pietrowa polscy kinomani znają głównie jako twórców powieści satyrycznej „Dwanaście krzesel”, na podstawie której w 1933 roku M. Wyszyński zrealizował niesłychanie popularną komedię z A. Dymszą i V. Burianem w rolach głównych.

W 1967 roku M. Szwajcer zrealizował komedię na podstawie innej, również głośnej, powieści pt. „ZŁOTE CIELE” i film ten stał się właściwie pierw-

szą w Związku Radzieckim próbą ekranizacji dzieł, tych cieszących się w Kraju Rad ogromną popularnością autorów.

W „Złotym ciele” Ilfy i Pietrowa odnajdujemy postać niezwykłą — Ostapa Bendere, indywidualistę, marzy ciela, „wielkiego kombinatora”, który mógłby być postacią żalną, a jest dzięki bogactwu cech osobowych, bohaterem tragicomicznym. Intencje autorów zostały znakomicie odczytane przez reżysera filmu i wykonawcę roli Ostapa Siergieja Jurskiego. Nie lada satysfakcję sprawia szansa spotkania postaci tak niejednorodnej jaką jest Ostap Bendera. Ta złożoność jego natury czyni tę postać żywą i ponadczasową, choć twórcy powieści i filmu osadzili ją w konkretnej epoce i klimacie.

Są w tym filmie prawdy i morały odczytane i klarowne. Droga, którą do nich dochodzimy jest jednak ścieżką wąską choć misternie poprowadzoną. Szkoda zatem, że zakończono ją z takim rozmachem i hukiem jakby nie wierzono w inteligencję widza i w jego kapital moralny.

Dzieje Ostapa Bendery to opowieść o programowym indywidualizmie, które-rogom inteligencja i życiowa energia predestynują do czynów wielkich. Ale

jest to jednocześnie opowieść o pełnym krachu indywidualizmu, który gnał bohatera w objęcia „złotego ciela”. Milion miał Ostapowi pozwolić żyć w społeczeństwie, ale jednocześnie z dala od niego. To okazało się, co potwierdzają wszystkie prawdy, niemożliwe.

Jednym z ciekawych rysów tej postaci było to, iż zdobywał milion nie dla niego samego, lecz dla marzeń, które mógł zrealizować. Zdobywanie miliona to poszukiwanie szczęścia. Ostap przegrał dostojnie i w naszych oczach, gdy zrozumiał, że bladość tych marzeń, chciał przy milionie stać jednak nadal. Nie znalazł, nie potrafił i był jednak za słaby by sens życia znaleźć gdzie indziej. A może nie chciał? Tragicomiczny ton dzieł Ostapa Bendery znajduje swe główne źródło w nucie żalu za utratą człowieka, którego bezsporne talenty wykorzystane zostały w budowaniu fałszywej, choć na pozór barwnej koncepcji życia. Gdy patrzymy na bohatera, ogarnia nas żal, że tyle ludzkiej fantazji, inteligencji i energii idzie na marne. Smutek nasz i melancholia są tym większe, że indywidualnie, kombinatorskie działania Ostapa wydają się zabiegami czystej natury w zetknięciu z obudą, ziemi i głupotą, którymi z po-

zoru czyste społeczeństwo jest dotknięte.

Filmowa realizacja tej pełnej sarkastycznego humoru, satyrycznej agresywności i melancholijnej zadumy opowieści Ilfy i Pietrowa byłaby pełnym sukcesem twórców, gdyby zdobyli się na trochę większą odwagę w poczynie niu pewnych skrótów. Jak to najczęściej w adaptacjach bywa zbytnia troska o pełny kształt dzieła i rysunek postaci wyrządza dziełu filmowemu pewne szkody. Jest w powieści Ilfy i Pietrowa tyle znakomych postaci i tyle epizodów, że widać, iż wszystkie co twórcom było żal. I stąd przesadna chyba długość filmu, który przy kilku ciekawych zyskałby na pewno. Niemniej, pyszna postać Ostapa w świetnej interpretacji S. Jurskiego chodź będzie jeszcze za nami dość długo.

* * *

„DZIEWCZYNA NA ROZDROŻU” jest głosem bułgarskich filmowców w ogólnej dyskusji o pokoleniu młodych, których znakiem wywoławczym jest słowo big-beat. Nie jest to głos specjalnie znaczący. Nie wychodzi poza stwierdzenie, które się wokół powieła. Nie są tak źli, jak nam się wydaje.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Nie są źli, bo za maską cynizmu drze mią w nich dobre uczucia, nie są gorśli od pokolenia dorosłych, a często nawet bardziej czysti. Trzeba do nich umieć trafić, trzeba nie stwarzać samemu okoliczności, które uczą życiowej latwizny.

Znajdujemy w „Dziewczynie na rozdrożu” obrazki żalostnego „dolce vita”, kilka demaskatorskich zabiegów odsłaniających zakłamane oblicza urzędowych dygnitarzy i świat pozorów życia dobrego i właściwego.

Obraz życia, wewnętrznych konfliktów i rozterek moralnych młodych bohaterów „Dziewczyna na rozdrożu” jest jednak obrazem ułatwionym. Nie trudno bowiem odsłaniać zalety ducha młodych ludzi gdy tak łatwo przeciwstawia się im świat dorosłych, w którym prawdziwe zasady moralne, idee i zawodowe nie mają właściwie prawa obywatelstwa.

Zastosowano w filmie taryfę ulgową zarówno wobec tematu jak i młodych bohaterów. Ona to odebrała filmowi możliwe atuty obrazów obyczajowych i rysunku psychologicznego bohaterów.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

JAK POWSTAŁY KSIĄŻKI: „MOTYL” I „PIAF”

Informowaliśmy już na tym miejscu o dwóch bestsellerach obecnego sezonu literackiego w Pa-ryżu, książkach pt. „Mo-Marcelle Routiere przysta-tyl” Henri Charriera i pt. „Piaf” Simony Berteaut. Zapo-źnał się w agencji literac-kiej „Opera Mundi”. Szef tej agencji odszukał przy-rodnią siostrę Piaf, Simo-nę Berteaut. Jak się oka-zało miała ona dzienni-ckie prowadzone od lat, nie stanowiący jednak jesz-cze materiału na książkę. ryżu, książkach pt. „Mo-Marcelle Routiere przysta-tyl” Henri Charriera i pt. „Piaf” Simony Berteaut. Zapo-źnał się w agencji literac-kiej „Opera Mundi”. Szef tej agencji odszukał przy-rodnią siostrę Piaf, Simo-nę Berteaut. Jak się oka-zało miała ona dzienni-ckie prowadzone od lat, nie stanowiący jednak jesz-cze materiału na książkę.

Ostatnio paryski dziennik „Le Figaro” podał sensa-cyjne szczegóły o tym jak doszło do wydania obu książek. Manuskrypt pierw-szych zeszytów powieści „Motyl” otrzymał paryski wydawca Pauvert w mo-mentcie kiedy przedsięwzię-ctwo znalazło się w ostat-niej fazie likwidacji. Ma-nuskrypt przejął więc Jean-Pierre Castelnau, by-ły dyrektor literacki wy-dawnictwa, który za zgo-dą autora „Motyla” prze-kazał część rękopisu wy-dawcy Robertowi Laf-font. W trzydzieści sześć godzin potem Castelnau otrzymał odpowiedź: „To książka roku. Niech mi pan da resztę”. Mijają ty-godnie podczas których Castelnau, pozbawiony pra-cy na skutek likwidacji wydawnictwa Pauverta, a-by się utrzymać pisuje fe-letony do paryskich ty-godników. Tymczasem ma-nuskrypt Charriera jest gotowy. Castelnau żąda od Laffonta udziału finan-sowego w wydaniu książ-ki. Laffont zgadza się. Książka zdobywa ogrom-ny sukces, a dziś Castel-nau otrzymuje za „Mo-tyla” znacznie więcej pie-niędzy niż sam autor. Spe-cjalści zastanawiają się czy to czasem nie Jean-Pierre Castelnau jest au-torem książki. Castelnau odpowiada jednak — i wieści, dziewiętnaście no-wel, jedenaście opowiadań, liczne wiersze, notatki i jący — że gdyby mógł wielką ilość listów o du-

żej wartości dla literatu-ry. Mary Hemingway nie zdecydowała jeszcze kiedy Przynajmniej natomiast, dzieła te będą opublikowa-że książkę Charriera sta- rannie poprawił i dokonał niezbędnych adustacji. Nieco inną historię ma „Piaf”. Pomysł wydania drukiem wspomnień o słynnej piosenkarce, naro-dził się w agencji literac-kiej „Opera Mundi”. Szef tej agencji odszukał przy-rodnią siostrę Piaf, Simo-nę Berteaut. Jak się oka-zało miała ona dzienni-ckie prowadzone od lat, nie stanowiący jednak jesz-cze materiału na książkę.

Profesorowie Young i Mann odkryli m. in. wśród rękopisów powieść pt. „Jimmy Breen” napisaną w roku 1927 to jest w rok po ukazaniu się pierwszej książki Hemingwaya pt. „The sun also rises” (Słońce też wschodzi). „Jimmy Breen” jest rela-cją bohatera powieściowe-go, ucznia liceum, które-go ojciec jest rewolucjo-nistą i który udaje się wraz z nim z Chicago do Paryża.

Inna powieść, niekomplet-na, licząca 850 stron, na-pisana została w latach 1954-1955 a zatytułowana jest „African Brook”. Jej treścią jest opis przy-gód myśliwskich autora w Kenii.

Profesorowie oznajmili, że bibliografia nie wyda-nych dzieł Hemingwaya przygotowana została z myślą o wielkiej wystawie dzieł tego pisarza jaka zo-stanie zorganizowana w Bibliotece im. Johna F. Kennedy w przyszłym ro-ku w Cambridge (Massa-chusetts).

MARTYN PIETROSJAN

Wybitnie utalentowany, młody malarz ormiański, Marlyn Wirabowicz Pietrosjan urodził się w roku 1936 w wiosce Cachkaszen pod Spitakiem w Armeńskiej SRR. Wszelkie artystyczne zdobyci w Ere-waniu, gdzie studiował w latach 1953-1958.

Od początku 1961 roku brał udział w wystawach artystycznych w Erewaniu. W roku 1967 na wystawie malarstwa w Moskwie eks-ponował swój obraz „Kwia-ty i rybki”. Pietrosjan od szeregu lat współpracuje jako rysownik z ormiań-skim czasopiśmie „Pio-nier”.

Twórczość Pietrosjana cechuje różnorodność środ-ków wyrazu. Jego płótna odznaczają się mocnym konturem, śmiałością ukła-du kolorów, grą stonowa-nych odcieni barwnych.

Wiosną 1969 r. Pietro-sjan, należący wówczas do twórczej grupy związku plastyków w Pałandze (Li-tewska SRR), stworzył m. in. cztery niezmiernie interesujące dzieła, które obrazują sceny ze słynne-go eposu ormiańskiego „Dawid Sasunski”.

„Siłaczka i Judym 69”

Redakcja „Odgłosów”, wspólnie z Zarządem Wo-jewódzkim ZMW oraz Wydział Kultury WRN organizują spotkanie społeczników Ziemi Łódzkiej pn. „SEJMIK SIŁACZEK I JUDYMÓW 69”. Celem tego spotkania będzie podsumowanie do-robku pracy społecznej na przestrzeni 25 lat istnienia Polski Ludowej. Pragniemy również, żeby najlepsi i najzbarliwsi społecznicy woj. łódzkiego po-dzieliли się swymi doświadczeniami, sukcesami i trud-nościami w swej pracy, oraz zamierzeniami na przy-szłość. W związku z tym ogłaszamy ankietę-konkurs, w której udział może, i powinien wziąć każdy dzia-lacz społeczny. Obok imienia i nazwiska, zawodu, wieku i miejsca zamieszkania prosimy o odpowiedzi na następujące pytania:

- ◆ Jakie cele zrealizowałem pracą społeczną?
- ◆ Jakie napotykałem trudności i jak je przezwycię-żałem?
- ◆ Co zamierzam zrobić dla swej wsi, miasteczka, kraju w najbliższej przyszłości?
- ◆ Jaki sens ma dla mnie praca społeczna.
- ◆ Czy w naszych czasach jest miejsce dla „Siła-czek” i „Judymów”?

Autorzy najsensowniejszych wypowiedzi zostaną zapro-szeni na spotkanie, a ich prace drukować będziemy na łamach „Odgłosów” i czasopiśmie regionalnych. Gorąco zapraszamy do udziału w ankiecie. Prace można nadsyłać na adres redakcji „Odgłosów”, Łódź, Piotrkowska 96.

KOMITET ORGANIZACYJNY SEJMIKU „SIŁACZEK I JUDYMÓW 69”



Rysunki M. Pietrosjana (1966)



Edith Piaf

Od NIEDZIELI do NIEDZIELI

PAMFLET
NA
PRASIE

CZAS ŁAGODNOŚCI — GAZETA CZY ZNACZEK POCZTOWY? — KOLDRA JEST ZA KRÓTKA — „PARADA GWIAZD” DLA MŁODZIEŻY — MIĘDZY WAŻNYM A WAŻNIEJSZYM.

Zyjemy w czasach wielkiej łagodności — przynajmniej w sterze publi-cystycznych polemik. Nawet zasadnicze dyskusje toczy się u nas w reka-wieczkach i atmosferze Wersalu. Bajką wydają się nam dziś wspomnienia Mar-ka Twaina o tym jak re-dagował dziennik w Ten-nesse. Wówczas pisało się tam tak: „Nalógowi łgarze z tygodnika „Trzę-sienie Ziemi” znów za-zamierzają obrzuć jadem swych plugawych oszczerstw grono uczciwych i dostojnych postaci. Do-prawdy lepiej by się utopił w katuszy własnego kłamstwa, zanim by się mieli doczekać lania, które im się prawdziwie należy (...)” To był styl!

Dziś — jak wspomnia-łem — piszemy łagodnie

i w ogóle polemiki trafiają się rzadko. Ostatniej soboty, jednak włączyłem radio i usłyszałem felie-ton Marka Wawrzkiwicza poświęcony łódzkiej prasie. Nie można tego publicy-stycznego głosu zostawić bez odpowiedzi, choć pole-mista nie ma tu łatwego zadania.

Otóż Wawrzkiwicz wy-powiada wiele słusznych uwag, ma w wielu wypad-kach rację, ma rację mó-wiąc, że w codziennej prasie „brak miejsca na re-cenzje z ważnych koncer-tów symfonicznych, nie ma miejsca na analitycz-ne odnotowanie wydarze-nia plastycznego, gdzieś im się prawdziwie należy (...)” To był styl!

Dziś — jak wspomnia-łem — piszemy łagodnie

nie z twórczości łódzkich pisarzy”.

To prawda — a jednak felieton Marka Wawrzki-wicza budzi mój sprzeciw. Uważam bowiem, że nie można krytykować czło-wieka niskiego wzrostu za to, że jest niskiego wzro-stu. Sytuacja prasy w o-góle — także i prasy co-dziennej — jest właśnie taka. Gazety są po prostu za małe — mają za mało miejsca, są szczupłutkie i siłą rzeczy muszą dokony-wać selekcji. Ponieważ podstawową funkcją co-dziennej gazety jest infor-macja — kierunek tej se-lekcji jest oczywisty. Sami dziennikarze powiadają z sarkazmem i gorzką ironią, że nie redagują gazety lecz „znaczek pocztowy”.

Jeśli zespół ludzi o kie-runku tej selekcji decydu-jący zdaje sobie sprawę, że w 730-tysięcznym mieś-cie nieporównanie więcej ludzi interesuje repertuar kin niż koncert symfonicz-ny — rezygnuje z ambit-nej muzycznej recenzji na rzecz informacji o fil-mie. Wiem oczywiście, że idealnym wyjściem byłoby opublikować i recenzje i repertuar filmowy. Ale kiedy wybór jest ko-niecznością? Mówi Marek Wawrzki-wicz, że rubryka „Parada

gwiazd” w „Dzienniku Łódzkim” jest niefrasobli-wa i zajmuje się margina-liami, że lansuje pseudo-gwiazdki itp. Na koniec jednak dodaje: „może to nawet jest dla jakiejś gru-py ludzi ważne”. Otóż ja! Mnie także — przynajm-niej śmieszny ta rubryka, ale przecież wiem, że jest ona adresowana nie do mnie — starego konia — nie różniającego „Czer-wonych Głaz” od „Czer-wono - Czarnych” — lecz dla tysięcy (po-wtarzam — tysięcy!) młodych ludzi, dla których są to sprawy ważne. Nie rozdzierajmy szat — dorosną i zajmą się czymś poważ-niejszym, ale dziś jest to lech świat. Czy gazeta nie powinna odpowiadać tak-że na tego rodzaju zapo-trzebowanie? Myślę, że po-winna.

Felieton Marka Wawrz-kiwicza budzi także mój sprzeciw i z innych wzglę-dów. Otóż wydaje mi się, że jest to felieton niespra-wiedliwy. Do założonej z góry tezy o miłośności i płychności łódzkich gazet autor dobrał sobie odpo-wiednie przykłady — bar-dzo zresztą celne i praw-dziwe. Ale przecież można z równym powodzeniem dokonać zabiegu odwrot-nego. Jeśli przyjmie tezę o głębi i wysokim poziomie

łódzkiej prasy — to bez-trudu znajdzie przykłady na poparcie mojej tezy. Tylko, że publikacja jaka się z tego wykluje będzie równie nieprawdziwa co wywód radiowego publicy-sty.

Prawda bowiem jak zwy-kłe leży gdzieś pośrodku. Rozumiem Wawrzkiwicza, kiedy irytuje się, że mor-derstwo w Hollywood po-święcono w prasie więcej miejsca niż łódzkim laure-atom nagród państwowych. Ale w końcu funkcja in-formacyjna codziennej pra-sy — także w dziedzinie kultury — nie jest wypeł-niana najgorzej. Mogłaby być spełniana lepiej? Ba! Tylko, że od razu przypo-mina mi się znane powie-dzenie o przykrótkiej koł-drze. Jeśli naciągniesz na głowę — nogi zostają od-kryte.

Tak więc prasa codzien-na wciąż balansuje między sprawami ważnymi a waż-niejszymi. Między informacjami o subtelnościach wy-konania symfonii a infor-macjami kiedy Elektrocie-płownia wreszcie zacznie ogrzewać nasze mieszkania. Trochę wulgaryzuję i u-praszczam, ale myślę, że właśnie gdzieś w tych re-jonach pogrzebany jest przysłowiowy pies.

A przecież mimo tej ko-nieczności ciągłego wyboru między ważnym a ważnie-szym łódzka prasa publiku-je systematycznie recenzje książkowe, omawia spektak-le łódzkich teatrów, infor-muje o wystawach plastycz-nych, o koncertach w Fil-harmonii, publikuje wy-wiały z łódzkimi pisarza-mi... Przecież to właśnie „Dziennik Łódzki” stał się inicjatorem i wydawcą jak-że potrzebnego w Łodzi „In-formatora Kulturalnego” pu-blikacji, która od nowego roku obejmie wszystkie dziedziny życia kulturalne-go Łodzi, przejmując tak-że funkcje dotychczasowe-go „Informatora Teatral-nego”...

Nie jest więc aż tak źle jak to widzi Marek Wawrzkiwicz. I choć wiele u-wag zawartych w jego fe-lietonie jest — niestety, słusznych, to ogólny ton pamfletu na łódzką prasę budzi mój sprzeciw. Nie dlatego, że jest to kamyk śo ogródka, który także upra-wiam, ale dlatego, że spoj-rzenie radiowego publicy-sty było tu bardzo jedno-stronne. A przecież ani przysłowiowy medal ani gazeta nie mają tylko jed-nę stronę.

JERZY WIDOK

Zbrodnia w Kornwalii

Dokończenie

Ona wierzy, że wuj jest niewinny, lecz ja myślę inaczej. Ale nikomu nie zdradzę tego, co wiem. Nie chcę, aby wuj mojej żony był sądzony i powieszony.

— Dlaczego pan mi to mówi?

— Ponieważ słyszałem wiele o pańskiej inteligencji. Możliwe, że pan znajdzie jakieś oskarżenie przeciwko niemu. Ale jaki z tego będzie pożytek? Ta biedaczka nie żyje! Na pewno nie zyczyłaby sobie skandalu w rodzinie.

— Może jest w tym racja — zamyślił się Poirot. Włec pan chce aby sprawa ucichła?

— Tak, właśnie. Trochę to egoistycznie z mojej strony. Bo widzi pan, zakładam małe przedsiębiorstwo konfekcyjne i chciał bym...

— Egoistów jest wielu, lecz nie każdy się do tego przyznaje, panie Radnor. Zrobię to, o co pan mnie prosi. Lecz mówię szczerze, że nie uda się panu zmusić ludzi do milczenia.

— Dlaczego?

— Proszę posłuchać — zawołał detektyw. Z miasta dochodził zgiek tłumy, był to dzień targowy. — Oto głos ludu... pan mnie rozumie, Radnor?... Ale musimy się spieszyć, pociąg nam ucieknie.

★ ★ ★

— Bardzo interesujące, prawda Hastings? — zapytał Poirot, jak tylko pociąg ruszył.

— Tak myślisz? — sprzeciwiłem się. — Dla mnie jest to brudna sprawa i wcale nie taka tajemnicza.

— A wiesz, zgadzam się z tobą.

— Mam wątpliwość, czy można przyjąć te niezwykłe historie o „zadurzonej” ciocie. Dla mnie jest to punkt niejasny. Taka wykształcona i subtelna kobieta! — Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Przeciwnie, rzecz zupełnie normalna. Jeżeli czytasz uważnie czasopisma, to mogłeś zauważyć, iż często kobieta wykształcona i wrażliwa porzuca dzieci i męża, z którym przeżyła w zgodzie dwadzieścia lat, aby połączyć się z młodszym człowiekiem. Tak, Hastings, adurujesz piękne kobiety, lecz absolutnie nie znasz ich psychiki. W „jesiennym” wieku kobiety bywają często momentami, kiedy pragnie miłości, przygody... bo niedługo będzie za późno! Dlaczego nie miałoby się to przydarzyć żonie dentysty z prowincji?

— I ty wierzysz, że...

— Ze sprytny człowiek mógł z tego wyciągnąć poważne korzyści — stwierdził detektyw. — Nie powiedziałbym, żeby

Pengelley był sprytny — zażartowałem. — Nadepnął na odciski całego miastu. Ale może masz rację. — Spojrzałem na detektywa. — Dlaczego nie chciałeś zobaczyć się z panem Pengelley?

— Mon ami, pozostawiam mu jeszcze trzy miesiące. Potem będę mógł go oglądać, ile tylko zechcę... na ławie oskarżonych.

★ ★ ★

Po raz pierwszy myślałem, że Poirot pomylił się. Czas upływał i nie się nie działo. Prawie już o tym zapomniałem, gdy pewnego dnia przeczytałem w gazecie, iż zarządono ekshumację zwłok pani Pengelley.

Po kilku dniach „tajemnica kornwalijska” znalazła się na pierwszych stronach wszystkich dzienników. Okazało się, że plotki nie przycichły i gdy dowiedziano się, iż wdowiec poślubił swą sekretarkę z języki rozszalały się. W końcu wysłano petycję do prokuratora generalnego. Nastąpiła ekshumacja zwłok i wykryto znaczną ilość arsenuku. Władze aresztowały pana Pengelley jako podejrzanego o zabójstwo żony.

★ ★ ★

Poirot i ja czekaliśmy na wyniki śledztwa obserwując galerię świadków. Doktor Adams przyznał, że objawy zatrucia arszenikiem można pomylić z niezwykłym żołądkiem. Zeznania pokojowej Jessie, bardzo obszerne, wpłynęły negatywnie na pozycję oskarżonego. Freda Stanton zeznała, iż ciocia czuła się dużo gorzej po zjedzeniu pokarmu przygotowanego przez męża. Józef Radnor opowiedział, iż w dniu śmierci pani Pengelley wszedł niespodziewanie do domu i zobaczył jej męża z butelką trucizny w ręku. Potem sąd wezwał jasnowłosą sekretarkę, która płacząc zeznała, iż między nią a oskarżonym był związek miłosny. Dentysta obiecał, że się z nią ożeni, gdyby coś się przytrafiło jego żonie. Ustalono dzień procesu.

★ ★ ★

Józef Radnor odprowadził nas do hotelu.

— Widzi pan — rzekł Poirot — miałem rację. Ludzie gadają i nie kryją się z tym. Zresztą, trudno tu było milczeć.

— Tak, miał pan rację — westchnął Radnor. — Jak pan myśli, czy się z tego wygrzebie?

— Hm, Pengelley już sobie wybrał adwokata. Może ma jakiegoś asa w rękawie... jak to

wy Angley mówicie. Niech pan wejdzie, proszę.

Radnor przyjął zaproszenie. Zamówił dwie whisky i filiżankę czekolady.

— Jak wiadomo — ciągnął dalej detektyw — mam duże doświadczenie w tych sprawach. Jest tylko jedna możliwość ocalenia naszego przyjaciela Pengelley.

— Jaka możliwość? — zapytał Radnor.

— Pański podpis na tym papierze. To mówiąc Poirot szybko wyciągnął kartkę gęsto zapisaną.

— Co to jest?

— To jest zeznanie, że pan zabił panią Pengelley.

Nastąpiła chwila ciszy. Potem Radnor wybuchnął śmiechem.

— Chyba pan zwariował, Poirot!

— Nie, mój przyjacielu, nie zwariowałem. Proszę słuchać. Przybył pan do tego miasta. Zaczął pan budować przedsiębiorstwo, lecz było krucho z pieniędzmi. Poznał pan Fredę i spodobał jej się pan. Ale zezwolenie dentysty na małżeństwo z jego siostrzenicą nie wystarczyło. Trzeba było pozbyć się wuja i ciotki, aby mieć majątek, który odziedziczyłaby Freda, jako jedyna krewna. Niezła kalkulacja! Zaczął pan nadskakiwać tej kobiecie w średnim wieku, aż stała się pana niewolnicą. Pani Pengelley wykryła, że mąż ją zdradzał a pod pana wpływem zaczęła wierzyć, że chce ją także otruć. Przebywając często w tym domu miał pan okazję do mieszania arsenuku do jej potraw. I jak sprytnie!... Gdy dentysta znajdował się poza domem, w potrawach nie było trucizny. Jedyną kłopotliwą rzeczą było utrzymanie w tajemnicy stosunków z dwiema kobietami. Dlatego wmówił pan ciotce, że aby uniknąć podejrzeń męża, musi pan zalecać się do siostrzenicy. A Fredę łatwo było przekonać, gdyż nigdy nie uważała by swej ciotki za poważną rywalkę.

Lecz nadszedł moment, gdy pani Pengelley poszła za swym instynktem i zwróciła się do mnie. Gdybym w czasie naszej rozmowy mógł zapewnić, że mąż ją zatrąwa, porzuciłaby go i poszła do pana. Przynajmniej tak myślała, biedaczka!

Lecz tego pan nie chciał, prawda, Radnor? I nie życzył pan sobie, aby detektyw kręcił się po domu. Dlatego chwycił się pan pierwszej sprzyjającej okazji. Był pan w domu, gdy dentysta przygotowywał owiankę dla swej żony i w ten sposób można było wmieszać do jedzenia tę fatalną dozę trucizny. Reszta jest prosta. Udał się zaniepokojenie krzącącymi plotkami w rzeczywistości sam pan je podzegał. Lecz zapomniał o osobie Herkulesa Poirot, mój sprytny młodzieńcze!



Radnor był błąd, lecz usiłował stawić czoło niebezpiecznej sytuacji. — Bardzo ciekawe i pomysłowe, ale dlaczego pan mi to wszystko opowiedział?

— Ponieważ, monsieur, ja nie reprezentuję prawa, lecz pana Pengelley. Ze względu na tego człowieka ofiarowuję panu możliwość ucieczki. Proszę to podpisać a pozostawię panu 24 godziny wolności. Po tym terminie przekażę sprawę policji.

Radnor zawałał się. — Nie ma pan żadnego dowodu przeciwko mnie — rzekł.

— Nie mam? Proszę wyjrzeć przez okno. Stoi tam dwóch ludzi na ulicy, którym rozkazano, aby nie tracił pana z oczu.

Radnor zbliżył się do okna, odsunął firankę i cofnął się gwałtownie, przeklinając.

— A więc pan widzi? Proszę

podpisać, to jedyna możliwość ratunku dla pana.

— Jaką mogę mieć gwarancję, że...

— Ze dotrzymam umowy? Słowo Herkulesa Poirot! Niech pan się spieszy z podpisem! Dziękuję, bardzo dobrze. Hastings, proszę cię, unieś firankę z lewej strony. To jest sygnał, który daje wolną drogę panu Radnor.

Błąd, mrużąc z wściekłością, Radnor wybiegł z pokoju. Poirot skinął głową, uśmiechając się.

— Nikezerny tchórz! Zawsze byłem tego pewny.

— Zdaje się, Poirot, że postąpiłeś wbrew prawu — powiedziała leż z lekka podniecony. — Pozwoliłeś uciec kryminalistom!

— Nie gorączkuj się, przyjacielu — odparował detektyw. — Czyż nie widzisz, że nie mamy żadnego dowodu przeciw niemu?

Czy chciałbyś może, abym stanął przed sądem i powiedział: „Ja Herkules Poirot, wiem wszystko”? Wyśmiałyby mnie. Jedyną możliwością było przestraszyć Radnora i uzyskać w ten sposób zeznanie.

Ci dwaj, których widziałem na ulicy, znaleźli się tam przypadkowo. Spuść firankę, Hastings! Nie było żadnego umówionego sygnału. To wszystko inscenizacja!

Lecz musimy szanować nasze słowo. Powiedziałem 24 godziny? To jest dużo dla biednego pana Pengelley... ale on zasługuje na karę. Mówiąc między nami — zdradzał swoją żonę. Poczekamy 24 godziny... a potem? Mam zaufanie do Scotland Yardu. Złapią go mon ami, zobaczysz. Złapią go na pewno!

Oprac. A. S.



Lewym okiem

KTO TO JEST?

Psychologowie rozróżniają jak wiadomo kilka typów pamięci. Jeśli ktoś łatwo zapamiętuje dźwięki, łatwiej przyswaja sobie słowa zasłyszane, niż np. przeczytane, mówi się, że ma pamięć słuchową. Ci, co wolą wszystko sami przeczytać i zobaczyć, bo dopiero wtedy zostają u nich ślady w mózgu — mają pamięć wzrokową. Nieświadomi pamiętają dotykem — i tak dalej.

Wydaje się jednak, że predyspozycje do pamiętania niektórych obszarów rzeczywistości lepiej niż innych można poklasyfikować na znacznie mniejsze specjalności. Na przykład pamięć fizjonomiczna — do twarzy ludzkich. Ktoś na wczesach rzuca się człowiekowi w ramiona, zaczyna od „stary koniu”, a tu ani rusz nie wiadomo z kim przyjemność. Owszem, coś świta: kolega

szkolny? Klient z terenu służbowego? Kooptant? Kumpel z wojska? Kelner z baru na rogu? Czy po prostu bliski kuzyn?

Po chwili okazuje się, że od lat wsiadacie rano do tego samego tramwaju, na tym samym przystanku. Nie zamieniliście nigdy ani słowa, ani nawet spojrzeń. Znać swoje ubrania, buty i kapelusze, nie poza tym. Ale to bliska znajomość, zwłaszcza w dużej odległości od domu.

Nieraz rozmawiam z kimś kwadrans i dłużej, widzę że mój rozmówca niezłe orientuje się w wielu moich sprawach, a wciąż męczę się na próżno zgadywaniem: kto to jest? Po wielu latach pracy obejmującej duży teren — teren całego kraju — jest się znajomym dla tysięcy ludzi i samemu zna się tysiące. Każdy z nich uważa siebie za zupełnie niepodobnego do innych, wyróżniającego się czymś całkiem specjalnym. Trudno przecież uwierzyć, że ktoś nas po prostu myli z dziesiątkiem innych typów, że jesteśmy jednym małym punktem w wielkiej, ruchomej mozaice twarzy i postaci.

Nie na to nie poradzę, że w dużej restauracji nigdy nie wiem, który spośród kelnerów mnie obsługuje. Nie przyglądam mu się gdy stoi nad głową i pisze, ani kiedy siedzi przy stoliku dalej i pisze, ani gdy stoi przy barze i pisze. Potem, kiedy zupa jest niesłona a soli nie ma, bo nigdy

nigdzie nie ma, coraz to przelatuje bokiem ten lub inny pan w muszce, ale każdy odpowiada krótko a rzeczowo: nie ja! Nawet zapłacić nie wiadomo komu! Nie wiem, czy to nie zdrożna myśl, ale — może by tak zastosować jakieś blaszki czy opaski z inicjałem, z numerkiem, znacznikiem?

Warto by też chyba przyjąć generalnie zwyczaj przedstawiania się w sposób, nie budzący wątpliwości. Jeśli dwie spotykające się osoby znają się bardzo dobrze i oczywiście jest dla każdej z nich, że omyłka zajść nie może — w porządku. Ale nie uważajmy za oczywiste, że wszyscy zawsze muszą nas natychmiast poznać, przypomnieć sobie i odpowiednio skójarzyć tylko dlatego, że myślimy ich akurat, przez przypadek, zapaniętali. Lepiej dla uniknięcia jakże łatwych nieporozumień powiedzieć od razu: Ygrek jestem z wczasów w Krynicy, pamięta pan? Albo: Hanka jestem, sąsiadka z kolejki do dentysty, nie poznajesz?

Żeby było wiadomo z kim wspominać uroczą wspinaczkę na Górę Parkową, z kim — niesprawiedliwego szefa, z kim chodzenie na jabłko do sąsiadów. Ważna rzecz, chociaż na pozór, głupstwo. Głupstwami niejedną już sobie życie skomplikował. Wiem, co mówię.

CWIEK